



**Muhammad Ali  
KONTRA  
Georg Foreman**

STR. 7, 9, 10



**targi**

STR. 4, 6

**Najważniejsza  
dla mnie jest  
publiczność**



STR. 12

**FOTOREPORTAŻ**  
STR. 14

**MAGAZYN**

STR. 15, 16

# ODGŁOSY

ROK XIX NR 7 (949)

12 LUTEGO 1976 r.

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## REKOMENDACJE

Od kilkudziesięciu lat na całym świecie psychologowie, socjologowie i pedagodzy pracują intensywnie nad uzyskaniem odpowiedzi na pytanie, czy jest możliwe wychowanie i wykształcenie wynalazcy? Na ten ciekawy temat wypowiada się w bieżącym numerze Kazimierz Skibicki.

Z okazji 80-rocznicy powstania kina dużo miejsca poświęcamy Łodzi filmowej, a Maciej Łukowski zastanawia się „Gdzie powstanie stolica krótkiego metra?”

Wielu badaczy fenomenu latających talerzy już od dawna usiłuje znaleźć odpowiedź na pytanie, czy możliwe jest, aby niezidentyfikowane obiekty latające były pojazdami przedstawicieli innych cywilizacji. Tajemniczy i niejasny charakter tych zjawisk skłania większość ludzi do przypuszczeń, iż NOL są wytworem cywilizacji pozaziemskich stojących na bardzo wysokim poziomie, które tym sposobem prowadzą obserwacje naszej planety i jej mieszkańców. Te interesujące rozważania zawiera kolejny odcinek Bohdana Felta z cyklu „Latające talerze — fikcja czy rzeczywistość?”

„Głębokie zaniepokojenie włoskiej opinii publicznej wzbudza okoliczność, iż w obliczu tych faktów włoskie ministerstwo spraw zagranicznych nie podjęło dotąd żadnych kroków, a nawet nie złożyło publicznego ubolewania z powodu niedopuszczalnego mieszania się Amerykanów w wewnętrzne sprawy Włoch. Te zakulisowe machinacje CIA we Włoszech ostatecznie rozwiły mit o tzw. „obronnym” charakterze NATO”. — to tylko fragment artykułu Jerzego Czecha, który na pewno warto przeczytać w bieżącym numerze „Odgłosów”.

Poza tym Czytelnicy znajdą w bieżącym numerze wszystkie stałe pozycje: felietony, informacje książkowe, program telewizyjny, recenzje oraz całą stronę poświęconą „Expressowi Ilustrowanemu” z okazji jego jubileuszu i „Magazyn” w którym szczególnie polecamy artykuł Andrzeja W. Mikołajewskiego: „Scena Śródmieście czyli propozycje nie do odrzucenia”.

## REPORTAŻ ZAGRANICZNY JAPONIA

### JÓZEF POTĘGA „Soka — gakkai” CZYLI JAK Japończyk KOCHA BLIŹNIEGO

Kiedy wysiedliśmy z autokarów, które podwoziły nas na przedmieście Hiroszimy natychmiast zorientowaliśmy się, że przyjęcie jakie nam tu zgotowano będzie niezwykłe. Aby dostać się do wnętrza okazałego domu zbudowanego w stylu amerykańskim, trzeba było przejść między szpalernymi uśmiechniętymi dziewczętami i chłopcami klaszczącymi w dłonie, wykrzykującymi jakieś powitania po japońsku — więc dla nas zupełnie niezrozumiale. Spodziewaliśmy się gościnnego przyjęcia, ale żeby aż tak?! W ogólnym zamieszaniu ledwie mogłem się zorientować, że niektóre dziewczęta stojące w zbitym tłumie, ubrane są w przepiękne, jedwabne kimono i rzeczywiście przypominają kwiaty lub motyle. To skójarzenie narzuca się natychmiast i jest jedynym właściwie trafnym.

Japonki nie są ładne. Trudno znaleźć w ulicznym tłumie, albo wśród tysięcy odwiedzających domy towarowe centrum Tokio, Osaka czy Nagoya dziewczęta, które by mogły wzbudzić żywsze uczucia Europejczyka. Mówię tu o zewnętrznych wrażeniach. Bo wszystkie — są ogromnie sympatyczne. Uśmiechają się właściwie bez przerwy, kiedy się do nich mówi i nie ma w tym uśmiechu niczego sztucznego, niczego fałszywego.

Kobieta w Japonii nadal żyje w cieniu męża, choć oczywiście wielkie koncerny i firmy zajmujące się na przykład elektroniką: Toshiba, Sony, National, Canon opierają swoje sukcesy przede wszystkim właśnie na cierpliwości, zgrabnych palcach, ogromnej zdolności koncentrowania się i cierpliwości Japonki, montujących precyzyjne aparaty i urządzenia.

Małżeństwo jednak przekreśla tu karierę zawodową kobiety. Stała się ona żoną i matką, a jej zasadniczą troską i niejako racją istnienia, jest dbałość o dom, męża i dzieci. Nie ma ponadto przesady w tym, co się mówi o posłuszeństwie żon posuniętym, w naszym rozumieniu, do przesydy. Bywa, że żona przygotowuje kolację, „ściele gniazdko”, gdy mąż chce spędzić kilka chwil czy godzin z przyjaciółką... Pozbawiona środków do życia, żyjąca tylko domem, perspektywą ekonomiczną i towarzyską kleska w przypadku wypędzenia przez męża,

jest skazana nieraz na skrajne upokorzenia...

Zapędziłem się tu w „damski problem”, a tymczasem tam, w Hiroszynie, aniśmy się obejrzieli, a już byliśmy w sporej sali widowiskowej. Pośrodku ustawiono 16 mm projektor i za chwilę, po krótkim powitaniu, zgaszono światło, a na ekranie pojawiły się pierwsze kadry filmu dokumentalnego o atomowej rzezi jaką zgotowali Amerykanie Hiroszynie 6 sierpnia 1945 roku...

Scena po scenie pokazywano straszliwą tragedię bezbronnego miasta, nad którym nagle pewnego ranka, dokładnie o godzinie 8.15 miejscowego czasu, zapaliło się niebo i runęło na ziemię temperaturą sięgającą nad epicentrum kilku tysięcy stopni. W promieniu ok. 4 km od gmachu Szkoły Przemysłowej, nad którą na wysokości ok. 600 m eksplodowała zawieszona na spadach bomba, spopieleniu uległo wszystko. Zniekształcone cegły, dachówki, porcelanowe filiżanki i inne, obok setek innych krzyczących swą straszliwą wymową eksponatów, oglądać można w miejscowym muzeum, stojącym na skraju Parku Pokoju...

Teraz na ekranie widzę teren tego dzisiejszego parku sfilmowany wtedy, w kilka godzin po eksplozji. Jest to po prostu naga pustynia poprzecinana zarysami ulic, które były do siebie prostopadłe. Kamera pokazuje ludzi: stopy trupów popalonych, spopielenych, okaleczonych. A za chwilę tych, którzy przeżyli: przy zdejmowaniu opatrunku odpadają kawały mięsa, w placach, ramionach, pośladkach, udach, łydkach widnieją głębokie kawyry po wypalonym ciele...

Kiedy się to ogląda nie można przyjmować żadnej strategicznej, czy politycznej argumentacji, która dziś leży tu i ówdzie usiłuje się usprawiedliwić to bezprzykładne barbarzyństwo. Historycy dzisiaj, a wielu specjalistów już wtedy twierdziło, że Japonia była rzucona na kolana, że kapitulacja tak czy owak była kwestią dni lub tygodni i nie nie usprawiedliwiała tak potwornej rzezi...

Mysząc o tym, oglądając tragedię ludzi i miasta, spostrzegam, że w tym ponad godzinny filmie, ani razu nie mówi się kto zrzucił bombę, kto ją

zbudował. Ani razu nie pada nazwa „Ameryka”, „Amerykanie”. Później, kiedy będę zwiedzał muzeum Hiroszimy, także szybko zorientuję się, że nie ma tam ani razu wiadomości kto?!, Bombowce B-29, przyleciały z bazy... zrzuciły... eksplodowały... Ale kto, kto?!

Film się kończy i okazuje się, że jesteśmy gośćmi Stowarzyszenia o nazwie „Soka — gakkai”. Ostatnio prasa doniosła, iż podpisało ono porozumienie z Japońską Partią Komunistyczną.

Być może kiedy w 1937 roku tokijski nauczyciel Cunesaburo Makiguczi zakładał swoją religijno-polityczną organizację nie przypuszczał, że ponad 30 lat później liczba jej członków przekroczy 15 milionów.

Kanon „Soka — gakkai” stanowią mieszanie buddyjskich dogmatów i idei neokantyzmu. Wszystko to oparte jest na ideach buddyjskiej sekty zorganizowanej w XIII wieku przez mnicha nazwiskiem Nitiren.

Stowarzyszenie „Soka — gakkai” odcięło się stanowczo od shintoizmu, który w czasach reżimu faszystowskiego i w okresie ostatniej wojny, był religią państwową w Japonii. Swoim stosunkiem do cesarza i wojny dobrze bowiem służył imperialnym i agresywnym ambicjom ówczesnych władców Japonii. Shintoizm twierdzi bowiem, że cesarz Hirochito jest potomkiem w prostej linii bogini słońca Amaterasu, czczonej w Japonii od niepamiętnych czasów. Nie też dziwnego, że umrzeć za cesarza, walczyć za cesarza było nie obowiązkiem, ale wręcz rozkoszą...

W cesarskich rozkazach pisywało się o „śmierci lżejszej od piórka”, żołnierze śpiewali:

„Czy popłynę jako trup pod wodę, czy upadnę w gestą trawę na sklonie góry, ohocho umrę za cesarza”.

Pokutujące więc także i u nas przekonanie, że stynni kamikaze — piloci-samobójcy, którzy tak wiele szkód sprawili amerykańskiej flocie w pewnym okresie bitwy o Pacyfik, byli do tej najwyższej ofiary zmuszani, a przed lotem upijani, należy więc włożyć między bajki. Ci młodzi fanatycy naprawdę chcieli umrzeć za cesarza...



## OBYCZAJE

WIESŁAW  
JAŹDZYŃSKI

### NASZ BLIŹNI — Kowalski

Działo się to kilka miesięcy temu w Krakowie. Nasz bliźni Kowalski, człowiek pełen dobrej woli, uczynny i ludzki, zadzwonił do pogotowia, żeby co rychło przyjechało stwierdzić zgon nieznanej mu zresztą kobiety. Pogotowie reprezentowane przez innego Kowalskiego, pozbawionego dobrej woli odpowiedziało, że nie przyjedzie, ponieważ adres nie jest dokładny, brakuje numeru mieszkania. W tej sytuacji Kowalski pozytywnie pobiegł z powrotem, sprawdził numer mieszkania i znowu łaczył się z tym drugim Kowalskim przy pomocy automatu. Ten drugi odpowiedział, że pogotowie nie stwierdzi zgonu, jeżeli nie dowie się przez telefon daty urodzenia zmarłej. Zmarła zaś nie chciała nic na ten temat powiedzieć, z czego wynika, że dzięki Kowalskiemu będziemy mogli umierać bez zaświadczenia. Jedyna nadzieja w kobietach, mimo wszystko nigdy nie wiadomo, kiedy zechcą coś powiedzieć.

Ostatnio, tak by wynikało z lektury naszej prasy, nasi bliźni Kowalscy wzięli się energicznie za wychowanie pokoleń i to już od wczesnego dzieciństwa. W bydgoskiej populudniówce przeczytałem ostatnio, że przedszkolaków bardzo jest łatwo nauczyć odpowiedniego stosunku do ojców miasta. Otóż zdarzyło się w Bydgoszczy, że osiedle „Wyżyny II” zaczęło tonąć w błocie. Wypadek dość typowy, takie osiedle można znaleźć i w Łodzi, a pewnie gdzie indziej także. Sek wszakże w tym, jak to błoto usunąć. Kowalski wychowawca znalazł sposób niezwykle skuteczny, pokłócił mianowicie list przedszkolakom, skierowany do pana prezydenta Jakim cudem dzieci taki list napisały — sędzić trudno, ale już pierwsze słowa zdradzają niezwykłą pomysłowość Kowalskiego:

„Nasz kochany Panie Prezydencie! My, młodzież z przedszkola numer 42 mamy do Ciebie wielką prośbę. Droga do naszego przedszkola to wielka kałuża. Wiemy, że masz dobre serce i nam pomożesz”.

Tak więc dzieci nauczyły się już sztuki podlizywania i chyba dobrze się dzieje, jeśli wierzą, że municypalność nie ma obowiązku wyciągania ludzi z błota, lecz tylko dobre serce.

Dalszy ciąg na str. 5

Dalszy ciąg na str. 5

### Spotkanie aktywu kulturalnego

W ubiegłym tygodniu w ZPDz „Bistona” odbyło się zorganizowane przez Wydział Propagandy i Kultury KL PZPR spotkanie partyjnego aktywu kulturalnego miejskiego województwa łódzkiego. Miało ono charakter szkoleniowo-seminaryjny. Ponad stuosobowe grono pisarzy, plastyków, aktorów, filmowców, działaczy kulturalnych zajmujących się upowszechnieniem, miało okazję zapoznać się z aktualnymi problemami polityki kulturalnej partii po VII Zjeździe, w kontekście praktycznego działania w naszym województwie.

W spotkaniu wziął udział tow. Lucjan Motyka — kierownik Wydziału Kultury KC PZPR, który wygłosił obszernie przemówienie poświęcone omówieniu roli i zadań kultury i sztuki na etapie budowy rozwinętego społeczeństwa socjalistycznego w świetle Uchwały VII Zjazdu PZPR oraz odpowiedział na liczne pytania łódzkiego aktywu kulturalnego. Podczas wielogodzinnego spotkania wygłosił również referat tow. Zbigniew Faliński — sekretarz KL PZPR, w którym omówił dorobek ostatniego 5-letnia w Łodzi i zapoznał zebranych z przyszłymi zadaniami w gospodarce i kulturze, podkreślając ich wzajemne uwarunkowania. Znaczną część swego wystąpienia tow. Z. Faliński poświęcił problemom ideologicznym.

Następnie odbyły się seminaria w trzech grupach tematycznych, podczas których zabrano głos kilkudziesięciu dyskusyjantów. Zgłoszono wiele praktycznych postulatów, jak również podzielono się refleksjami na tematy ogólne m.in. dalszego doskonalenia modelu działania na rzecz rozwoju i pogłębienia socjalistycznych treści w kulturze polskiej. Wielu dyskusyjantów, występując w imieniu swoich środowisk, ustosunkowało się z pełną aprobatą do projektowanych zmian w Konstytucji PRL, zwracając uwagę na ich humanistyczną wymowę i wysoką rangę ika otrzymanej wszelkie poczynania mające na celu duchowy rozwój społeczeństwa. (J.W.)

### ZA TYDZIEŃ W „ODGŁOSACH”

— Krzysztof Pogorzecel w artykule pt. „Kim jesteś dyrektorem?” charakteryzuje naszych dyrektorów oraz omawia drogi dyrektorskich karier, traktując tę charakterystykę jako istotny problem społeczny.

— Ryszard Binkowski w „Wędrowniczku” prezentuje dialog z jednym ze społecznych marginesu, który w wyniku swojej „postawy życiowej” przez trzy lata będzie odzwyczajał się od lekkiego życia i picia „patykiem pisanego”.

— Haliny Steplów w „Tragiczny zapis”

— Kazimierza A. Lewkowskiego „Garbus” czyli refleksje o sztuce Sławomira Mrożka pod tym tytułem i o jej wystawieniu w Teatrze Nowym przez Kazimierza Dejmka.

— ponadto recenzje, felietony, listy.

## PRAWO PRACY

### Z PODSEKRETARZEM STANU W MINISTERSTWIE PRACY, PŁAC I SPRAW SOCJALNYCH — HENRYKIEM BIALCZYŃSKIM — ROZMAWIA ZOFIA TARNOŃSKA.

Minał pierwszy rok stosowania nowego prawa pracy i można dokonać wstępnej oceny jego funkcjonowania. Prosimy o to podsekretarza stanu w Ministerstwie Pracy, Płac i Spraw Socjalnych — mgr HENRYKA BIALCZYŃSKIEGO.

— Będzie to rzetelnie wstępna ocena, bowiem trwają głośnie badania, prowadzone metodami naukowymi, trwa obserwacja statystyczna. Do tego należy dodać obserwację praktyki życia codziennego w dłuższym okresie czasu — i dopiero będziemy mieć podstawy do uogólnień i kompleksowej oceny zarówno rozwiązań prawnych jak i ich stosowania. Na wstępie należy stwierdzić, że oprócz Kodeksu Pracy wydano 40 aktów prawnych wykonawczych, ustawę o okręgowych sądach pracy i ubezpieczeń społecznych wraz z przepisem wykonawczym, ustawę zmieniającą poprzednią o spółdzielniach i ich związkach oraz 6 dekrety, które przystosowały do nowego prawa pracy pragmatyki służbowe.

— Wejście w życie nowego prawa pracy poprzedzono bogatą działalnością informacyjną, szkoleniową i popularyzatorską. Czy możemy mówić o efektach tej pracy?

— Celem szkolenia wprowadzającego do tematyki nowego prawa pracy było wstępne przygotowanie kadr, które zajmowały się tymi zagadnieniami przed reformą. Ogółem przeszkolono około 170 tys. członków organów orzekających, radców prawnych, działaczy związkowych i innych. Popularyzowanie nowego aktu odbyło się wieloma kanałami i trzeba wspomnieć, że również środowisko dziennikarzy w poważnym stopniu przyczyniło się do zapoznania ogółu pracujących z treścią prawa pracy, jak również z organizacją i trybem jego stosowania.

Pożyteczną rolę odegrały punkty konsultacyjne w zakładach pracy i przy instancjach związkowych od wojewódzkich począwszy. Do celów szkolenia, wdrażania i popularyzacji wydano w 1974 r. 440 tys. egzemplarzy Kodeksu Pracy (niezależnie od 200 tys. egzemplarzy tekstu ogłoszonego w Dzienniku Ustaw) oraz 9 broszur — poradników szkoleniowych dla wykładowców. W zeszłym roku wydano jeszcze 700 tys. egzemplarzy wraz z przepisami wykonawczymi i związkowymi.

— Proces wprowadzania w życie nowego prawa wymagał przede wszystkim, aby kierownictwa ministerstw i zarządów głównych poszczególnych związków zawodowych zawarły nowe zbiorowe układy pracy i zarejestrowały je w Ministerstwie Pracy, Płac i Spraw Socjalnych. Czy wszyscy zdążyli to zrobić w porę?

— W niektórych przypadkach z niewielkim opóźnieniem, ale zawarto jednorazowo 73 nowe układy zbiorowe oraz około 160 porozumień rozciągających ich stosowanie na różne mniejsze i większe grupy pracowników. Od stycznia 1975 r. zawarło też dużą ilość porozumień dodatkowych do tych układów, głównie dotyczących podwyżek płac realizowanych zgodnie z programem wynikającym z uchwałą VI Zjazdu PZPR. Można więc stwierdzić, że na tym szczeblu nowe prawo pracy zostało faktycznie wprowadzone i jest stosowane w praktyce.

— Pamiętając o tym, że podstawowym adresatem nowego prawa jest zakład pracy, a od niego wymagano (to znaczy wymagało nowe prawo) wydania nowych regulaminów jako miejscowych aktów prawnych, chciałam zapytać, jak zakłady wywiązały się z tego zadania?

— Akcja została potraktowana z dużą powagą, ale nie wszystkie wywiązały się z tego obowiązku w terminie i naleźcie. Najczęściej powtarzającą się przyczyną opóźnień był długotrwały tok opracowywania regulaminów oraz opiniowania

ich pod względem zgodności z przepisami prawa pracy na szczeblu jednostek nadrzędnych. Poza tym treść wielu regulaminów nie odpowiadała w pełni założeniom Kodeksu Pracy. Np. w niektórych regulaminach umieszczono szczegółowe przepisy o czasie pracy i dniach wolnych od pracy, w innych przetożono szereg przepisów dotyczących uprawnień urlopowych

— Nie mamy wątpliwości, że tak jest czy to przez niewiadomość czy też błędną interpretację, a nawet przez łamanie w interesie jednej lub drugiej strony stosunku prawnego. Życie dostarcza nam na bieżąco spostrzeżeń o naruszaniu wymagań stawianych przez nowe prawo i zmusza do dalszych — bardziej szczegółowych działań prawnych lub organizacyjnych. Inne nieprawidłowości mogą być usuwane w trybie nadzoru, instruktażu czy szkolenia, gdyż powstały z niezrozumienia szczegółów.

— Czy można poprosić o przykłady?

— W umowie o pracę nie zamieszcza się np. klauzuli zobowiązującej pracownika do przestrzegania porządku i dyscypliny pracy oraz nie poprzedza się umowy — zawieranej na okres wstępny z pracownikiem, który nie pracował co najmniej 1 rok — umową na okres próbnny.

— Mamy jeszcze jednego adresata nowego prawa — organa rozpatrujące spory ze stosunku pracy. Czy przez przyznanie im działalności widak jest stosowany Kodeks Pracy?

— Mimo braku pełnych badań mamy świadomość, że jest ono z całą pewnością lepiej stosowane niż dawne. Nawet te niezbyt sprawnie wprowadzane regulaminy pracy są niewątpliwie lepsze, bardziej precyzyjne niż stare. Jest ono po prostu doskonalsze i bardziej zrozumiałe dla tych, którym służy. Kodeks trafnie przenosił do nowego jakościowo prawa postępowe treści poprzedniego prawa pracy i trafnie ukształtował nowe instytucje prawne, bardziej odpowiadające potrzebom socjalistycznego społeczeństwa.

W procesie wprowadzania nowego prawa widzimy, że trzy podstawowe funkcje prawa pracy: organizatorska, ochronna i wychowawcza, działają prawidłowo, spełniając fundamentalne prawa obywateli, jak np. prawo do pracy i do korzystania z jej owoców, prawo do ochrony życia i zdrowia i prawo do wypoczynku.

— Jeszcze jedna sprawa jest interesująca, a mianowicie stan świadomości prawnej obywateli, która chyba — myślę, że tego też oczekiwano w akcji popularyzacji Kodeksu Pracy — powinna ulec procesowi dalszego kształtowania się.

— Działania wyższe niż pod rządami starego prawa coraz bardziej kształtująca się świadomość prawna pracowników i administracji zakładów pracy. Jest to świadomość oparta na wiedzy, na stosunkowo dobrej i powszechnej znajomości nowego prawa pracy.

— Wypada mi na zakończenie rozmowy, za którą serdecznie dziękuję, zadać Panu tradycyjne pytanie na temat kierunku prac o problematyce prawa pracy.

— Potrzeby społeczne wymagają dalszego podniesienia wiedzy o nowym prawie pracy i nieustannego zwiększania stopnia jego skuteczności dla dalszego wzrostu społecznych wyników gospodarowania. Ministerstwo, wojewódzkie oraz prezesa zarządów związków zawodowych sporządzili założenia programowe i określili tryb szkolenia w 1976 r. Ukazała się już praca zbiorowa pt. „Nowe prawo pracy” pod redakcją R. Kawalca i J. Pachy — niezbędna do organizacji tego szkolenia. W tym roku ukazał się komentarz do Kodeksu Pracy pod redakcją J. Szczerbkiego, a w 1977 r. komentarz pod redakcją J. Ruska oraz — tak przewiduję — praca zbiorowa obejmująca kodeks, przepisy wykonawcze i związkowe, wyjaśnienia Ministerstwa Pracy, Płac i Spraw Socjalnych, orzecznictwo Sądu Najwyższego oraz Okręgowych Sądów Pracy i Ubezpieczeń Społecznych. Na zakończenie wspomnę, że ukształtował się również ogląd na temat kierunku prac badawczych i naukowych w prawie pracy. Najbliższym zadaniem w tej mierze będzie rozpoczęcie badań nad praktycznym stosowaniem prawa pracy i nad prawidłowością orzecznictwa komisji rozjemczych i odwoławczych do spraw pracy.

— A jednak — jak nas życie poucza — każde prawo jest w jakiejś swej części naruszane

— Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy każda z dokonywanych codziennie czynności prawnych w setkach tysięcy uspołecznionych zakładach (a także nieuspołecznionych) była w pełni zgodna z literą i duchem nowego prawa. Oczywiście — mamy świadomość, że w przytłaczającej większości przypadków tak się dzieje. Jesteśmy nawet przekonani, że część sukcesów gospodarczych, jakie mamy do odnotowania w 1975 r. należy przypisać działaniu nowego prawa pracy, gdyż zdarzenia i stosunki zachodzące między pracownikiem a zakładem pracy — w każdym przypadku, gdy funkcjonowanie zakładu lub interes pracownika tego wymaga — są oceniane i rozstrzygane na bieżąco według kryteriów nowego prawa pracy a prawo to lepiej precyzuje i dyscyplinuje obustronne stosunki niż dawne i bardziej sprzyja dobrej robocie.

— A jednak — jak nas życie poucza — każde prawo jest w jakiejś swej części naruszane

## TELEWIZJA

### PROPOZYCJE PROGRAMOWE

- CZWARTEK, 12.II. — program I:  
13.55 — Transmisja z meczu hokejowego USA — POLSKA (kolor).  
18.35 — W nurcie publicystycznym b. wydania, PEGAZ sięga do plastyki. Rozwija temat jej wpływu na osobowość współczesnego człowieka i rolę mecenatu państwa w odbiorze dzieł sztuki (kolor).  
19.40, 20.15, 22.55 — STUDIO OLIMPIJSKIE (kolor).  
21.10 — „SZACH KRÓLOWEJ BRYLANTÓW” — film krym.  
Program II:  
20.20 — Wrocławski Festiwal Jazzowy i wpływ tej imprezy na zainteresowania muzyczne młodzieży — to główny motyw reportażu filmowego Andrzeja Wasylkiewicza pt. „JAZZ NAD ODRĄ” (kolor).  
21.20 — Malarstwo Czesława Galeńskiego zaprezentuje TV GALERIA 34 MILIONÓW (kolor).  
PIĄTEK 13.II. — program I:  
16.40, 20.15, 22.55 — STUDIO OLIMPIJSKIE (kolor).  
18.55 — „POLAK W BAGDADZIE” — film dok. Ryszarda Bugalskiego.  
21.45 — DROGOWSKAZY — II wydanie nowego magazynu publicystycznego (I ukazało się 6 II). DROGOWSKAZY ukazywać się będą w każdy piątek.  
Program II:  
20.20 — „ZANIM WEJDA NA POCHYLNIĘ”.  
SOBOTA, 14.II. — program I:  
12.55, 15.00, 21.30 — STUDIO OLIMPIJSKIE (kolor).  
16.50 — ZWIĄZEK RADZIECKI MIEDZY ZJAZDAMI KPZR  
20.15 — TV Teatr Komedi wystawi premierę „KARNAWALU” Ion Luca Caragiale. W obsadzie m. in.: Ewa Wawrzon, Anna Wróblewska, Czesław Wołłejko, Jan Kociniak, Saturnin Żorawski.  
23.10 — Recital piosenkarski Kati Kovacs (Węgry).  
Program II:  
22.45 — W cyklu sensacyjno-kryminalnym TV NRD „TELEFON III” — projekcja filmu pt. „ZŁODZIEJE NIE WEJDA DO RAJU”.  
NIEDZIELA, 15.II. — program I:  
19.40 — „KRZYSZTOF KOLUMB”, III odc. serial hiszpańsko-włoski.  
12.50 — XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie.  
16.50 — STUDIO OLIMPIJSKIE (kolor).  
20.00 — Transmisja z uroczystego zakończenia XII Zimowych Igrzysk Olimpijskich (kolor).  
21.30 — „NANA”, II odc. pt. „KURTYZANA” — ser. filmu prod. ang.  
22.05 — „SING SALA BIM” (kolor).  
Program II:  
21.15 — „WIELE PIOSENEK ZNA WIATR” — propozycja rozrywkowo-estradowa TV NRD (kolor).  
22.55 — „Przegląd twórczości telewizyjnej Adama Hanuszkiewicza”.  
PONIEDZIAŁEK, 16.II. — program I:  
19.25 — Teatr TV wyznaw. „MAFKE” Stanisława Ignacego Witkiewicza. W spektaklu wystąpił m. in.: Ewa Lassek, Marek Walciewicz i Ewa Dalkowska (powt. w programie II, 17. II, godz. 17.35).  
21.50 — Rodzicom i wychowawcom polecamy program pt. „MIEDZY NAMI RODZICAMI” — będzie to dyskusja o partnerstwie w wychowaniu.  
Program II:  
21.30 — „SKARBY KULTURY POLSKIEJ — EXODUS WOJENNY”.  
WTOREK, 17.II. — program I:  
17.30 — W cyklu oświatowym „ZNAKI CZASU” program Wiesławy Karłowskiej i Alicji Iskierko pt. „NA TROPACH KUGLARZY”. Zapozna je z mechanizmami działalności pozornej — kuglarstkiej i szkodliwości tych zjawisk w życiu społeczno-ekonomicznym.  
18.50 — „TERRA INCOGNITA”, w cyklu: „FAKTY — OPINIE — HIPOTEZY”.  
20.50 — „TRZECIA GRANICA”, odc. IV pt. „W MATNI”.  
Program II:  
21.30 — Klub Filmowy wywiał film bułgarski dramat psychologiczny pt. „ZŁODZIEJ BRZOSKWIN” w reż. Wyto Radowa (nagrada na IV FF w Warszawie).  
ŚRODA, 18.II. — program I:  
19.25 — „RACHMANNÓW BEZ AUREOLI” — widowiskowy program słowno-muzyczny w reżyserii Kazimierza Orzecha.  
19.55 — W cyklu: „LUDZIE PARMILII” — mistrz Zenon Kulinski, z brzydki specjalistycznej Hutniczego Przedsiębiorstwa Remontowego.  
20.25 — Kino Interesujących Filmów zaprasza na projekcję sensacyjnego dramatu japońskiego pt. „ZŁY SPI SPOKOJNIE”.  
Program II:  
20.25 — Kolejny, trzeci koncert w salach Zamku Wawelskiego zatytułowany „W BAROKOWYM NASTROJU”.  
21.30 — „NANA”, II odc. pt.

## O CZYMŚ INNYM

Nie będę pisał o Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Innsbrucku, mimo iż ostatni tydzień kładzie znak równości pomiędzy Telewizją a Olimpiadą. Nie będę o tym pisał nie tylko dlatego, że jestem zwolennikiem popularnej skądinąd tezy o wyższości olimpiad letnich nad zimowymi i nie dlatego, że „nasi” dostają zastrzone cięgi, o jakich nie śniło się nawet najbardziej opornym pesymistom, ale dlatego, że chcę napisać o czymś innym.

Oto bowiem w zgiełku olimpijskich fanów, chyłkiem, młotkiem i wstydliwie, w późnych godzinach wieczornych, w II programie trwa od kilku tygodni, co tylko maniacy mogli zauważyć, retrospektywa telewizyjnej twórczości Adama Hanuszkiewicza. W tym miejscu najmłodszemu pokoleniu uczestników kultury wypadła przypomnieć, że twórca teatralnej „Balladyny” był kiedyś reżyserem telewizyjnym, o więcej, że niedługojsza twórczość telewizyjna jest — jak sądzę — najistotniejszą częścią jego dorobku artystycznego w ogóle. A sądzę tak dlatego, że teatralna działalność Hanuszkiewicza, a tak się składa, że znam jej przebieg najbardziej głono, zawsze stała dla mnie pod znakiem pewnej wirtuozowskiej warsztatowej graniczej z efektem nazbyt laskawym, który w ostatnich realizacjach, jak choćby w „Balladynie” przechodził w tanie efekciarstwo.

Jednym z ostatnich telewizyjnych przedsięwzięć Hanuszkiewicza była nieomal kongenialna adaptacja „Pana Tadeusza” potem jeszcze urokliwy fajerwerk, w jaki z nieomylnym instynktem przemienił zastrzone „Emancypantki” i potem już nic, cisza. Nie wiem dlaczego Hanuszkiewicz dla telewizji nie tworzył, mimo iż tutaj w moim przekonaniu jego talent sprawdza się najlepiej. Niech pozostanie to programowa tajemnica TVP — nie bierzcie zresztą i nie ostentujcie. Tymczasem ważne jest to, że telewizyjnego Hanuszkiewicza odkurzono i zapomniano.

I tu otwiera się zasadniczy temat tego felietonu. Chodzi o politykę powtórek telewizyjnych. TV żyje dniami dzisiejszym i to jest naturalne, niejako zgodne z istotą środka masowego przekazu, który zagarnia i przetwarza na informację to, co przynosi bieżąca chwila. Ale ta właściwość dotyczy jedynie dziennikarskiego, publicystycznego zakresu telewizyjnej działalności. Tymczasem w sferze działalności artystycznej istnieją dokonania, które mają charakter trwały i już — się wem — werbo — klasyczny. Odnosi się to zwłaszcza do osiągnięć Teatru TVP, a także niektórych zjawisk telewizyjnego kabaretu, by wymienić nazwisko Olgi Lipińskiej czy Jeremiego Przybory z Jerzym Wasowskim. Te oryginalne zjawiska artystyczne łączy w zapomnienie i jeśli są przypominane, to sporadycznie, przy czym jest to proceder wstydliwy i funkcjonalnie na zasadzie zapachaj — dziury, a w najlepszym wypadku historycznej rocznicy.

Wydaje się, że nie ma się czego wstydzić i należy wreszcie przelamać fałszywe mniemanie, które natronuje telewizyjnym redaktorom, że należy być ciałem na grubiejsi fali czasu i produkować rzeczy ciałe nowe. Rozsądna i godna czczenia opinia politywie w tym zakresie prowadzi Polskie Radio, które od dawna w interesujących cyklach eksponuje najwspanialsze słuchowiska w historii radiowego teatru. Tylko cała bieda w tym, że radio już mało kto słucha. Ja wiem, że TV też coś nrobiute w tym zakresie. I tak na w środku unalnego lata byłymś świadkami imponującego przedłożu dorobku filmu telewizyjnego, a swego czasu powtórzono Kabaret Starszych Panów, co znakomicie skomentował Lech Zahorski w „Kulturze”, podświadczył swój pikantny rysunkowy dowcip: „A Starsi Panowie są dobrzy do raz drugi”.

Wszystko to fajnie — jakby powiedział znakomity starszy pan Aleksander Bardini — tylko, na miłość boską, niech powtórzenia nie będą emitowane w II programie, podczas gdy w I wszyscy oglądają Olimpiadę.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

## ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDICH, WIESŁAW JAŻDYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI. Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA KRZYSZTOF POGORZECZEL, WITOLD SŁAWSKI TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

# HISTORIA NAJNOWSZA

19 stycznia 1945 roku o godzinie 23.00 Stolica ZSRR — Moskwa uczła kolejne zwycięstwo wojsk radzieckich 24 salwami artyleryjskimi z 324 dział. Salut ten został oddany na cześć jednostek 1 Frontu Białoruskiego, które w tym dniu wyzwoliły miasto Łódź i wiele innych miast polskich.

Łódzki Okręg Przemysłowy, będący jednym z większych w Europie ośrodków przemysłu włókienniczego, posiadający także zakłady przemysłu metalowego, chemicznego i inne, stanowił ważny region ekonomiczny, w oparciu o który można było zaspokoić rosnące potrzeby wyzwolonych ziem polskich i rozbudowującego się dynamicznie ludowego Wojska Polskiego oraz podjąć świadczenia na rzecz armii sojuszniczej — Armii Radzieckiej.

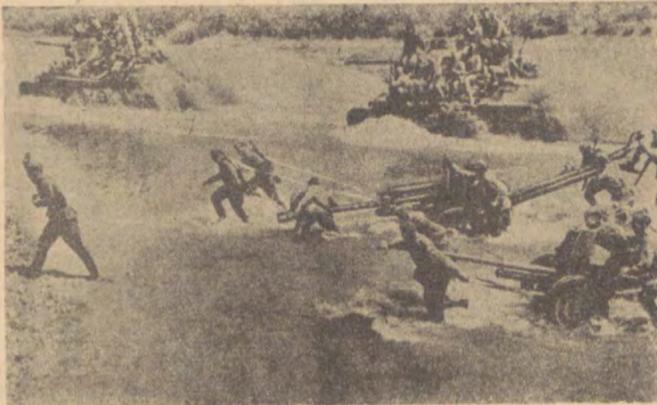
Pomoc dla walczących armii rozpoczęła się od chwili uruchomienia miejscowego przemysłu pod hasłem: „Wszystko dla frontu”.

„Wolna Łódź”, pierwsza gazeta w wyzwolonym mieście, w dniu 27 stycznia w artykule pt.: „Wojna trwa” wzywała:

„Miesto nasze musi walczyć się w ogólnym rydwanie wojennym. Od nas w dużej mierze zależy termin ostatecznego zwycięstwa nad hitleryzmem. Potrzebna jest Łódź fronto-

Po wyzwoleniu w 1944 roku ziem polskich na wschód od Wisły powstały możliwości częściowego zaspokojenia potrzeb wojska w tym zakresie przez rodzimy przemysł lekki. Ponad dwadzieścia zakładów przemysłu włókienniczego, 14 zakładów przemysłu odzieżowego, 3 fabryki obuwi, 15 garbarń mogło stosunkowo szybko podjąć produkcję na rzecz wojska lecz pod warunkiem, że dostarczy się im niezbędny surowiec i opał. Niestety, na to trzeba było jeszcze poczekać i dopiero w grudniu 1944 roku rozpoczęła się własna produkcja umundurowania. Niewielka produkcja wyrobów skórzanych wystarczała wówczas zaledwie na naprawy i wyrób uprzęży. Pierwsze polskie obuwie wojsko otrzymało dopiero na początku 1945 roku.

29 stycznia 1945 roku skierowano do Łodzi 50-osobową grupę oficerów na czele z zastępcą Głównego Kwatermistrza WP w celu zorientowania się w możliwościach przemysłu łódzkiego i



Fot. Archiwum

Uzupełniając niezbędne chemikalia, ekstrakty, barwniki i inne materiały pomocnicze oraz techniczne, zakłady przemysłu włókienniczego stopniowo podejmowały produkcję. Jako jedne z pierwszych, spośród wytypowanych zakładów włókienniczych, dały pierwszą produkcję dla wojska: załoga b. firmy Poznański (obecnie ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex”) wytwarzając od 1 do 10 lutego około 80 tys. metrów tkaniny oraz załoga b. firmy Scheibler i Grohmann (obecnie LZPB im. Obrońców Pokoju) przygotowując około 60 tys. metrów tkaniny.

Pragnąc poprawić sytuację aprowizacyjną 10 tysięcy robotników zatrudnionych w produkcji dla wojska, Główny Kwatermistrz WP polecił wydać z magazynów określoną ilość racji żywnościowych na okres kilkudziesięciu dni.

Ofiarną pracą robotników i personelu technicznego został wykonany, w zasadzie pomyślnie, pierwszy odcinkowy plan produkcji dla wojska. Jedynie brak wełny nie pozwolił na dostarczenie zaplanowanych ilości sukna na płaszcze wojskowe. W pewnym sensie miało zrekomensować ten brak kilka innych części umundurowania i ekwipunku żołnierskiego nie ujętych w planie. Do 1 czerwca 1945 r. przemysł włókienniczy Łodzi dostarczył 214 tys. mundurów, 236 tys. spodni, 46 tys. płaszczy, 224 tys. koszul, 120 tys. rogatywek polowych i znaczne ilości innych części umundurowania i wyposażenia żołnierza.

Potrzeby wojska były nadal duże, a o ich rozmiarach można zorientować się na podstawie planowanej w miesiąc produkcji przedmiotów tylko w ramach jednej branży, to jest Dyrekcji Przemysłu Konfekcyjnego. Przewidywano bowiem realizację tych zamówień w 22 zakładach, które miały przygotować 20 różnych części umundurowania. Np. zamierzano uszyć 30 tys. płaszczy, 93 tys. spodni, 65 tys. rogatywek polowych, 38 tys. koszul, przygotować 200 tys. onuc, 68 tys. prześcieradeł i pozostałe ilości pozostałych przedmiotów.

Cztery fabryki podległe Zjednoczeniu Przemysłu Garbarsko-Skórzanemu Okręg Łódzki już w okresie od 26 lutego do 31 marca dostarczyły 5100 par obuwi i naprawiły 32.800 par obuwi wojskowego. Kontynuując produkcję i naprawę, do 1 czerwca przemysł ten zaopatrzył wojsko w 29.950 par obuwi nowego i zreperował 30.436 par. Zakłady garbarskie prze-

każały łącznie (luty — czerwiec) do magazynów wojskowych skóry podszwowej 43.979 kg oraz znaczną ilość skóry juchtowej i chromowej, nie licząc innych wyrobów skórzanych.

Łódzki przemysł chemiczny, mimo poważnych zniszczeń (Pabianice, Zgierz), również partycipował w produkcji dla wojska, Zakłady Chemiczne „Boruta” w Zgierzu, których zniszczenie było znaczne, podjęły produkcję niezbędnych barwników, chemikaliów do tkanin wojskowych oraz produktów pomocniczych, niezbędnych dla przemysłu włókienniczego, włókien sztucznych, gumowego, garbarskiego i skórzanego.

Praca łódzkiego przemysłu w owych trudnych końcowych miesiącach wojny zależała w poważnym stopniu od sprawności transportu kolejowego, od wysiłku kolejarzy węzła łódzkiego. Już w dniu wyzwolenia kolejarze ze stacji Łódź Kaliska i Łódź Fabryczna stanęli do uruchomienia swoich węzłów. Ich ofiarna praca miała ogromne znaczenie dla miasta i dla przetrwania transportów oraz zaopatrzenia frontu, a szczególnie wówczas, gdy wojska radzieckie i dwie armie polskie przygotowywały się do uderzenia na Odrę i Nysę Łużycką. Duże usługi oddała wojsku kolejowa służba łączności.

Obraz działalności produkcyjnej i usługowej Łodzi dla frontu byłby niepełny, gdyby pominąć różne świadczenia i działalność produkcyjną na rzecz Armii Radzieckiej. Ludzie pracy swoim zaangażowaniem w realizację wynikających stąd zadań byli świadomi, że pracują dla tej Armii, która przyniosła im wolność i swoim ciałami na froncie przybliżyła ostateczne zwycięstwo nad faszyzmem niemieckim. Okazywali wdzięczność za udzieloną im pomoc żywnościową i dostarczenie transportu. Wiedzieli, że bez dostaw z ZSRR bawelny i wełny przemysł włókienniczy Łodzi nie mógłby się tak szybko ożywić.

Armia Radziecka korzystała też z dostaw przemysłu łódzkiego. Na początku lutego fabryka metalurgiczna (b. firma I. Johna — dziś „Ponar-Jotes”) otrzymała zamówienie od 1 Frontu Białoruskiego na części dosamochodów. Do dostaw dla Armii Radzieckiej włączył część swojej produkcji przemysł włókienniczy. Oto szereg przykładów. Zjednoczenie Przemysłu Wełnianego w okresie od 9 do 29 marca 1945 r. dostarczyło z podległych sobie fabryk dla jednostek i instytucji radzieckich towarów na sumę 171.250 zł. Zjednoczenie Przemysłu Dzwiersko-Pończoskiego w kwietniu przekazało wytwory łódzkiej fabryki wartości 1.634.204 zł. Natomiast zakłady podległe Zjednoczeniu Przemysłu Bawelnianego tylko w miesiącu marcu dostarczyły dla Intendentury Armii Czerwonej towarów za 505.886 zł.

Wartość dostaw i usług Zjednoczenia Przemysłu Budowlanego (marzec — kwiecień) dla różnych jednostek radzieckich wynosiła 628.021 zł. Zakłady Zjednoczenia Budowy Maszyn w Łodzi dostarczyły w marcu produkcję, której wartość wynosiła 491.200 zł. Fabryki Zjednoczenia Przemysłu Metalurgicznego i Elektrotechnicznego (w okresie luty — maj) przekazały swoich wytworów i usług za 381.672 zł. Ponadto 21 innych zjednoczeń i przedsiębiorstw (o różnej specjalności) produkcyjnych i usługowych w Łodzi wykonało produkty i dostarczyło usług dla Armii Radzieckiej do końca maja 1945 r. na ogólną sumę 259.347 zł. W ten sposób łączna wartość wyżej wymienionych dostaw towarowych, prac i świadczonych usług przekroczyła 4 miliony złotych.

Przedstawione fakty są wymowną ilustracją tego wysiłku produkcyjnego i w ogóle gospodarczego, jaki wniosła przemysłowa Łódź do ogólnonarodowego wkładu w ostateczne zwycięstwo nad hitleryzmem.

Tadeusz Klimaszewski — ppłk mjr — starszy wykładowca Katedry Nauk Społecznych WAM w Łodzi.

Fot. Archiwum

## BRYLANTY, REWOLUCJA I POLITYKA

Jest to sensacyjna intryga, wiele trzymających w napięciu scen, jakby żywym wyjętych z sensacyjnego filmu, jest też sporo historii i odrobina polityki. Jakże miłoby nie być sensacją, kiedy chodzi o znajdujące się w skarbcu brylanty ogromnej wartości, które władza pragnie korzystnie spieniężyć na rynku światowym, zaś różni kombinatory starają się nimi zawładnąć dla własnej korzyści? Jest skrupiatnie obmyślany plan włamania do skarbcza, jest efektowny napad i strzelanina, tajne spotkania przemytników, skomplikowana i ostatecznie skuteczna akcja radzieckich władz bezpieczeństwa. Jakże miłoby nie być historią, kiedy akcja toczy się w latach dwudziestych, kiedy państwo radzieckie stanęło przed ogromnymi trudnościami związanymi z głodem, nie uciechy jeszcze żyły kontrrewolucji, a sytuacja międzynarodowa jakże daleka była od normalizacji? Tam zaś, gdzie jest historia tamtych lat, jest i polityka, wprawdzie z przeszłości, ale wcale znów nie tak obojętą, jakby mogło się zdawać na pierwszy rzut oka.

Autor książki, radziecki pisarz Julian Siemionow, dzięki któremu otrzymaliśmy właśnie w tłumaczeniu polskim „Brylanty dla dyktatora proletariatu” (KIW 1975), starał się w powieściowej formie odzwierciedlić realia wydarzenia. Prowadził poszukiwania archiwalne, zupełnie tak, jak to czynił historyk, ściągnął do nieznanych materiałów radzieckich władz politycznych, wykorzystał dokumenty służb bezpieczeństwa i dopiero na ich kanwie — często przytaczając źródła historyczne — skonstruował swoją sensacyjną opowieść. Nieczęsto to formula pisarska i zapewne nietłumak: gromadzenie dokumentacji wymagało sporego wysiłku i znacznej umiejętności. Ale przecież trud się opłacił, skoro otrzymaliśmy coś więcej, niż zwyczajną sensacyjną powieść tyle że osadzoną w realia przeszłości. Dostaliśmy bowiem do reki zbeletryzowaną relację nie tylko o sensacyjnym epizodzie — ostatecznie sprawa brylantów tak niegdyś istotna, nie była jakimś wielkim wydarzeniem, jeżeli spojrzeć na nią w kategoriach historii — ale o czasach i sytuacjach, jakie się niegdyś zdarzały na co dzień — i to właśnie, w moim przekonaniu, stanowi o wartości książki Juliana Siemionowa.

Ale nie tylko to. Jakże często w książkach omawiających takie lub inne epizody z tamtej przeszłości, z lat Rewolucji, wojny domowej i ołchowskich dni nowobrylantowskiej, podobnie jak w pracach przedstawiających epizody z walk o władzę ludową w naszym kraju, autorzy przedstawiają racje tylko tej strony, z którą sympatyzują. Julian Siemionow tak nie czyni: w jego utworze każda ze stron, i działacze i milicyjanci radzieckiej i jej przeciwnicy, zarówno kombinatory i spekulanci myślowi o wzbogaceniu się na koszt społeczeństwa, jak zaciekli kontrolerowie, emigranci i gracze polityczni, ma swoje takie lub inne racje.

Tworzenie nowej rzeczywistości społecznej i politycznej nie dokonywało się przecież w walce z bandą idiotów i półgłówków, bo gdyby tak było miłoby, jakżeż wrog mógł być silny, tak uporczywie podnoszący kark, tak niebezpieczny? Toteż kiedy czytam karty książki radzieckiego autora, na których przedstawia on skomplikowaną polityczną grę, łączącą się poza granicami Rosji, śledzę sceny dziejące się w środowiskach politycznych emigrantów, pracowników najemniejszych wywiadów, politycznych czarnych i hochsztaplerów, kombinatorów i złodziei, kiedy za autorem tropie powolne przekształcanie się tych środowisk i poszczególnych osób, w związku ze zmieniającą się rzeczywistością, żałuję, że nie spojrzano dotąd w podobnych kategoriach na kształtowanie się innej, już nie rosyjskiej, ale polskiej ludowej rzeczywistości. A może już to uczyniono, tylkośmy tego jeszcze nie zauważyli, bowiem niżej się dziś tak wiele, że nie sposób przeczytać wszystkiego.

I jeszcze jedno spostrzeżenie: Julian Siemionow przy pomocy swego sensacyjnego wątku zdarzeń, bo chyba nie pod jego pretekstem, pokazuje dokonujące się zdarzenia na szerokim tle międzynarodowym. O taką szeroką perspektywę często się upominamy, rzadko jednak spotykamy się z nią w konkretnych pracach czy to literackich, czy historycznych. I znowu analogia z Polską: wprawdzie wiele już powiedziano, i w twórczości literackiej, i w badaniach naukowych, o naszych początkach naszej rzeczywistości, potrącono w udany sposób zrekonstruować wiele z niepowtarzalnego klimatu tamtych chwil, orzeczeń jednak wciąż trudno nam zdobyć się na szersze spojrzenie z punktu widzenia stosunków międzynarodowych.

Nie chodzi mi oczywiście o czasy II Wojny Światowej, bo po ostatnio wydanych książkach wiemy już wiele o dziejach sprawy polskiej w ówczesnej polityce światowej. Chodzi mi o czasy nieco późniejsze, o czasy walki o utrwalenie nowej władzy, o połowę i drugą połowę lat czterdziestych. Chodzi mi o szerszą międzynarodową perspektywę nie tylko perspektywę polityki głoszonej przez oficjalnych przedstawicieli rządów, ale i o tamta cicha, o której mówiło się mniej, nie mniej ważna dla rekonstrukcji atmosfery tamtych trudnych i falko ważnych dla przyszłości lat. Te analogie nawiązujące się przy lekturze sensacyjnej, ale przecież nie tylko sensacyjnej książki radzieckiego autora.

LEKTOR

Pertraktacje przeciągały się do wieczora. W sali konferencyjnej, mimo otwartych okien, zrobiło się ciemno od dymu, to goście tyle palił. Byli tacy przejęci, chwilami wydawało się, że nie przyjmą proponowanych warunków. Dyrektor Plichocki rzucał wtedy szefowi z ukosa wymowne, trochę sarkastyczne, trochę triumfujące spojrzenie i Barycki myślał: Boże, chroń mnie od moich marszałków! Uchroń mnie Boże od przyjaciół! Zrób to, a wygram każdą batalię.

Wynik bitwy, stoczony tego wieczora, był do końca niejasny, wszystkim mogło się jeszcze zdarzyć. Manewr Baryckiego istotnie wydawał się zbyt ryzykowny, Włosi godzili się na klauzule wprowadzone przez Polaków z największymi oporami. Takie warunki były nowością, zaskoczyły ich, nigdy jeszcze kraje Wschodu nie zapropowały takiego wariantu. Poprzedniego dnia szef włoskiej ekipy, „Il Duce” (to był dowcip Plichockiego), długo konferował ze swoją centralą w Mediolanie i wtedy właśnie Barycki nastraszył się, że jego fortel nie przejdzie — umowy licencyjne nigdy dotąd nie były tak obciążone. Może przeholowałem — pomyślał — może trzeba było skromniej, ciszej, tradycyjniej? Taka chwila słabości.

Ale jest już po wszystkim. Włosi nagle zmiekkli, nęcił ich ten rynek na Wschodzie, w ich sytuacji, z inflacją i wzrostem bezrobocia na karku, zyski z tego rynku były nie do pogardzenia, przyjęli zatem warunki i wtedy w oczach Plichockiego ukazał się na chwilę — a może to było tylko złudzenie, może się tylko tak wydawało Baryckiemu — jakby wyraz zawodu. Tak się zaangażował, tym razem przeciw Baryckiemu, przeciw tej, jak się zdawało, zbyt ryzykownej koncepcji. Chyba uznał, że już się kończy, że pora przejść do obozu tych, którzy mnie atakują. Ech Plichocki, Plichocki, mój beniaminku! To nielojalnie.

Cóż z tego? Przecież Plichocki miał własną wersję planu Baryckiego, wystąpił z nią jeszcze w Warszawie, walczył o nią, odsłonił przybicie. A że jest cwany? Nie brał za mną ślubu — uśmiechnął się pobłaźliwie Barycki. Ma prawo do własnych sądów. Ja go rozumiem. Ale teraz nie jest to nasz wspólny triumf.

Brzęknął kieliszkiem, wstał, na twarzy uśmiech nieco protekcyjny i bardzo z siebie zadowolony. Panowie, zrobiliśmy dobry interes, podpisaliśmy umowę dogodną i dla was i dla nas, powiedział z kieliszkiem szampa na ręku. Musiał odchrząknąć. Głowa pękała z bólu. Włosi uśmiechali się też zmęczeni, spoglądali na tego niemiłego mężczyznę z respektem. „Stary diabeł!” — ten epitet podsłuchany przez Baryckiego przypadkiem, był jakby rewanżem za koncept Plichockiego z „Il Duce”.

To przed dwoma godzinami. O dwudziestej drugiej ma się wreszcie ku końcowi kolacja wydana w małym salonie restauracji hotelowej na cześć delegacji włoskiej. Barycki siedzi obok lysego mediolańczyka o wypukłych, żółtych oczach. To ich boss. Wszyscy są jeszcze napięci i udreżeni sporam. Tylko ten ich inżynierek o urodzie amanta filmowego robi słodkie oczy do panny Soltohub. Barycki i szef włoskiej ekipy mówią po angielsku, bo do tłumaczki panny Maliny Soltohub zbyt daleko. Krzywa rozmowy to się wznosi, to znów opada, obaj czują się jakby ktoś z nich wypuścił całe powietrze: zmęczenie, reakcja nerwowa, błogi stan spełnienia. Barycki słucha frazesów o dobrodziejstwach — obustronnych!

umowy, potem frazesów o dobroczynnie zmienionej atmosferze europejskiej, wreszcie frazesów o sprawach osobistych. „Il Duce” zagłębia się w mętnej socjologii: trochę porównań, rodzina, dzieci, sprawy życiowe. W głosie sympatycznego Włocha sam optymizm. Tematy rozmowy szybko jednak wysychają, zmęczenie bierze górę. Maraton targów, przetargów i wreszcie tej najtrudniejszej bitwy o licencję i to tak obwarowaną, wyczerpał nie tylko Baryckiego, „Il Duce” też ledwo żyje, pod oczami ma czarne sińce. Spogląda ukradkiem na zegarek, Barycki wykorzystuje ten moment i pyta: — Bardzo pan zmęczony? Daje umówiony znak Malinie. Dziewczyna jest na medal: choć rozflirtowana, chwytła ten sygnał w lot. Wstaje. Wysoka, smukła, o skośnych, zielonych oczach i wydatnych kościach policzkowych, typowa — jak się zdaje Włochom — Słowianka. Z wdziękiem proponuje, by przejść do baru. Swą nieskazitelną włoszczyzną prosi zebrań w imieniu „signore Barycki”, który musi o świcie wracać do stolicy, a teraz, panowie oczywiście nie do zrozumienia, ma jeszcze pewne niecierpiące zwłoki sprawy służbowe.

Barycki żegna się z Włochami. To naprawdę mili chłopcy, a w swoim fachu — tegie lby. I ta ich łatwość przechodzenia od spraw fachowych do niemal infantylnego zapamiętania się w zabawie, w tej targowej „dolce vita”! Smagli, przystojni, łatwi we współżyciu, zapewne pozornie łatwi, ale takie wrażenie samo się narzuca. I w tej naszej branży dobijają się światowej hegemonii. My jesteśmy rośli, blondyni, na sprycie i nam nie zbywa, tylko to nasze bałaganiarskie — jakosć to będzie! Czy zatem uda się nam wejść na rynki światowe?

Nie mamy wyjścia, musimy wejść. To brzmi jak kalambur, jak slogan. A może to tylko paradoks. Marzenie. Może to tylko moje marzenie? Lecz Włosi wiedzą o co nam chodzi, gdyby to była tylko mrzonka, oni pierwsi by to spostrzegli... A tymczasem właśnie „Il Duce” powiedział tonem słodkokwaśnym: Co za śmiała koncepcja! Stąd ich opory, stąd wahania, zwłoka. Ostatecznie chyba uznali, że nie będziemy groźni. Ano, zobaczmy. Tylko to nasze bałaganiarstwo. I ta mordęga biurokratyczna. Ale to dopiero od jutra. A dziś — pierwszy krok mamy już za sobą.

Tymczasem Malina — absolutnie nieoceniona! — zagarnia młodszą część ekipy gości z czarującym choć nieco zbyt drapieżnym uśmiechem. Bałbym

Barycki przeczy ruchem głowy. W czasie kolacji zbyt dużo tego było: szampa, co prawda tylko lyk, ale potem do świetnie zakomponowanej parady smakolików czysta z lodu. Dwa, może trzy kieliszki. Włochom, tym młodszym, bo „Il Duce” jest po zawałe i pije tylko wodę mineralną, wszystkim tym młodym mediolańczykom oczy białeły od czystej wyborowej. A do deseru jeszcze francuski koniak.

— A wiesz, żeby zmienić temat na przyjemniejszy, kolacja była doskonała. Ta pularda... i suflet. Sufletów w Polsce nie umiemy robić, a ten wcale, wcale... — mówi doktor Paruch, smakosz i sybaryta. — Czy wiesz, że ona tkwiła całe popołudnie w kuchni i użerała się z tutejszymi

te zwycięstwo: nikt przecież na godzinę przed końcem pertraktacji nie wierzył, że Włosi przyjmą nasze warunki. Kiedy poczuł, że języczek uwagi już się przechyla na jego stronę, zaczął w notatniku ustawiać słupki nazwisk wybrańców: miał je prześlana od dawna — było ich piętnastu. Podpisana umowa licencyjna czyniła z nich — tak właśnie myślał — jego rezydentów w paru wiodących przedsiębiorstwach północnych Włoch. Już on ich przygotowuje do tej misji! Muszą się nauczyć tego, co uczyniło z makaroniarzy w tej branży światowe mocarstwo. Czy potrafia się tego nauczyć? Nie święci garnki lepią, panowie. Jeśli zachcecie! Tylko się starać, to naprawdę nie trudnego. Żadnych kompleksów, panowie! Ani przez

o piątę, potem o wpół do szóstej. Nie mogę się spóźnić! Zrób wszystko, żeby wyjechać punktualnie. O szóstej.

— Tak jest! — mówi kierowca Teodor Kaczorowski głosem i tonem zmienionym od lat trzydziestu.

— Nie zapomnij wziąć ze dwa termosy czarnej kawy. I jakieś bułki z wędliną. Nie mamy czasu zatrzymać się na drodze na śniadanie.

— Tak jest!

— Ty oczywiście zjedz przed wyjazdem coś rozsądnego. No, dobraniec! To już wszystko. Niech Malina, Plichocki i Włosi bawią się całą noc, byleby nie dłużej niż do czwartej. Niech doktor Paruch całą noc czyta jakieś swoje opasłe tomisko — międzynarodowe orzeczenia prawnicze, czy coś w tym rodzaju — które przytaszczył tu, na targi z Warszawy. A zapomnieliśmy pizamy i Barycki musiał mu ją kupować w nocy, w kiosku dolarowym — kłopotliwa to była heca. Niech Teodor się wypłi przed jazdą. Niech tylko co przybyli na Targi Arabowie spenetrują nocne życie tego nieco przyćmiewionego a bardzo pracowitego miasta, już w hallu oczy im zachodziły mgłą, tak byli zafascynowani wdziękiem blond, rudych i ciemnowłosych nočných clem, krążących wokół recepcji.

A on, Barycki, na czwartym piętrze w pokoju numer 418, bierze prysznic, potem goli się, z odrazą zerkać w lustro na swoją twarz, na szarą, niezdrówą cerę, obwisłe policzki i sine wargi. I to jest twarz mężczyzny, któremu nie mogła oprzeć się żadna kobieta? — myśli ironicznie. Gdzie jest twarz tamtego chłopca, pełne blasku śmiałe oczy i skrzywione w sarkastycznym uśmiechu wargi, niesfora czupryna, czoło wypukłe i szerokie? Chłopie, co z ciebie życie zrobiło? Dobywa z nesesera plastikowe pudełko: z każdego flakonika po jednej pastyle. Pilem alkohol, ach, do diabła... I jeszcze białoczerwona tabletki tarduły: zadziała czy nie? Sen, sen, sen, niczego bardziej nie pożądam. Ale nie narzekam. Życie? Lecz jakie życie? Czy zamieniłbyś swoje na welurową egzystencję przedstawiciela nowego pokolenia, dyrektora inżyniera magistra Stanisława Plichockiego? Pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Bo coż wtem o życiu inżyniera magistra Stanisława Plichockiego?

W pokoju jest gorąco mimo uchylonego okna, powinni mieć tu klimatyzację, kwestia prestiżu, nie tylko, również kwestia naszej wygodności... — myśli Barycki i pada na szeroki tapczan. Jeszcze raz z pamięci wylicza nazwiska tamtych piętnastu wybrańców. Sprawdzają się czy nie? Daleko na jakiejś wieży zegar wydzwania godziny.

— Raz jeszcze postawił na swoim? — myśli inżynier Plichocki wciąż ze zdumieniem, bo pomyśł Starego wydał mu się od początku bez szans, a wazy przecież te szanse długo i uważnie, nim zdecydował się zająć stanowisko negatywne wobec projektu Baryckiego, swego patrona i protektora. — Głupio wyszło! Barycki ma wrogów, zawistników, zeranych ambicją rywali i zwykłych besserwisserów. Będzie wyglądało, że to oni mnie napuścili, żeby jego plan skontrować. Plichocki jest nerwowo wyzerpany. Gonitwa myśli. Cwałują przez mózg. Nie może nad nimi zapanować. I powtarzające się pytanie — Czy Barycki to zapamięta? Jak to ze mną rozegra? Uzna, że z mojej strony była to czarna niewdzięczność? Może nawet deklaracja wrogości? Wypowiedzenie wojny? A może go przeprosić? To nie ze Starym. Te myśli Plichocki od razu odrzuca. Przeprosiny? Dopiero bym się podłożył. Już raczej męska rozmowa, powiem, że się pomyliłem, pokpiem, przyznam się, że byłem przemądrzały i dostałem dobrą naukę. Powinno chwycić. On taki język rozumie. Ale co po tej rozmowie zostanie w jego zakutym łbie? I najważniejsze: czy wybaczy?

Jakie niemile rozważania! Plichocki do reszty traci humor i dziewczyna dostreza to od razu. — Czy coś się stało? — pyta w przejściu z baru na dancing, oterając się o niego biodrem. Nie musi jej odpowiadać, bo już otoczył ją Włosi. Już jest na parkiecie z pięknym jak efeb inżynierkiem z Mediolanu. Epileptyczny tan, refektory to złote, to fioletowe nadają temu piekielku cechy delirium. Na stoliku butelka szampa. Cholera, na domiar złego jeszcze ten półśrodek szampa, kto to wymyślił? Gestykulacja Włochów. Ech, kobiety! Nareszcie temat do rozmowy. Plichocki udaje zainteresowanego, rozmawia z innym Mediolańczykiem o kobietach. Polki są piękne, tak, to byłyby nasz najatrakcyjniejszy towar eksportowy. Wymowny uśmiech. Tylko takie rozmowy o tej godzinie. Włoch zapala się, jest retorem, traktuje rzecz z namaszczeniem. Istny misjonarz! Wygłasza całe teorie o metodach sypialnego ujarznienia, o dominacji seksualnej, o gatunkach i podgatunkach kobiet i ich łóżkowej przydatności. Co za bałwan, zyma się w myślach Plichocki. Chociaż tacy trafiają się i u nas. Wodzą

WACŁAW BILIŃSKI

# TARGI

się jej, myśli Barycki, wyobrażam sobie, co za szatan tkwi w tej pięknej skorze. Nawet Il Duce wodzą za nią oczami. Barycki uśmiecha się do Plichockiego i pyta — Pójdiesz z nimi? Czy muszę? No, chyba wypadła. Zresztą i dziewczyna tego warta. Plichocki czerwieni się jak szczeniak, domyślił się, że Stary zauważył ich flirt. Ech, Plichocki, Plichocki! — uśmiecha się szef kącikami ust — Myślałem, że to będzie stypa? Ze się wykończę. Tak pewnie myślałem, pewnie chęć się już mnie pozbył. Jeszcze trochę cierpliwości, przyjdzie i twoja kolej.

— Signori, arivederci! Dobrej nocy! Na mnie już czas.

Włosi wychodzą otaczając pannę Soltohub, Plichocki podąża za nimi, jest przygnębiony. Do diabła, ile ten Plichocki ma lat? Trzydzieści osiem? Barycki wzdycha. Mój Boże, ja w jego wieku... Najpiękniejsze lata mężczyzny. Walczyć i kochać! Teraz ostatnia pora byś się bawił. Tak, synu. Możesz nie przespać tej nocy.

Doktor Mikołaj Paruch, prawniczek ekspert i przyjaciel Baryckiego, a także ze sprzymierzeńcem w wielu bojach siada przy drugim krańcu stołu. Zmusza się do uśmiechu.

Zdjął okulary, starannie przeciera je chusteczką. Zaraz — myśli Barycki

mistrzami od schaboszczaka. No i wyciągną z nich, ile się dało. Zuch dziewczyna... Skądś ty, stary łobuzie, wytrzasnął taką?

— Prawda, że ekstraklasa? — śmieje się Barycki i na chwilę zamyka oczy. Malina Soltohub. Urzekająca uroda. Świetna znajomość języka włoskiego. I na dodatek miła, inteligentna. Z ciepłkiem. Gdybym był młodszym, dziewczyną!

Ktoś chrząka za jego plecami, to szef restauracji podaje na tacy rachunek do podpisania.

— Czy i tym muszę sam się zajmować? — zrzędzi Borycki, ale wyjmując stalowego, osławionego w ministerstwie watekarska. A doktor Mikołaj Paruch z przekonaniem i wcale nie żartem powiada.

— Uważam cię za człowieka niezastąpionego, bo umiesz dobierać sobie współpracowników. A u Polaków to niesłychanie rzadka cnota. Czy umiejętności, jak kto woli.

Barycki — w zależności od punktu widzenia — to interesujący jeszcze mężczyzna, rośli, barczysty, z grzywą siwych włosów, twarz nacechowana agresywnością lub, spojrzawszy bardziej krytycznie: starszy, zbyt otępy człowiek o poszarzałej twarzy i workach pod oczami. Wolno, można by

sekundę nie uwierze, że Włosi są zdolniejsi od nas. Od nas? A wybrałem przecież najlepszych.

Co to właściwie znaczy — najlepszych? I czy ci najlepsi się sprawdzą? Piętnastu, aż piętnastu! Oczywiście w takim zespole jedni się sprawdzą na piątę, ale będą tacy, co zawiodą, odpadną. Może nawet któryś wystruga coś kompromitującego. Na przykład przysnie do Stanów, do Anglii, do NRF, zwabiony zielonym, szeleszczącym mierzem przez jakiegoś łowcę mózgow. Innego może pociągnąć w szeroki świat lekkomyślna młodość, która ponoć musi się wysunąć. Wybrał młodych, samych młodych. Teraz tylko młodość się liczy. Lecz niech choć jeden przysnie, wtedy od razu znajdą się tacy, którzy mu, Baryckiemu, ten wybór wypomną. Ze za krótko grzebał się w aktach personalnych. Ze mógł dostrzec i przewidzieć. Ze lekkomyślnie i niefrasif. Ze efekciarcko. Kto wie, czy pierwszy nie zaatakują właśnie sam mój zastępca — myśli Barycki — przeze mnie wywindowany tak wysoko, sympatyczny i bardzo zdolny młody człowiek, typowany na następcę tronu, dyrektor inżynier magister Stanisław Plichocki. Cwana bestia. Zdolny jak! Może to on pierwszy uderzy? Trzeba być i na to przygotowanym. Ale to dopiero za wiele mie-



Rys. J. Szymański-Glanc

— zacznie jeden ze swych monologów.

Ale Paruch jest uroczy i powściągliwy.

— Gratuluje — mówi. — Jeszcze raz ci się udało... Zawsze byłeś pokerzystą.

— Nie ostrz sobie na mnie języka. Ledwie żyje — wzdycha Barycki.

— Oni też. Przepuścili ich jak przez wyżymaczkę.

— Mam, czego chciałem! — mówi Barycki i brzmi to jak okrzyk zwycięstwa.

— Tak, tak! Oczywiście. Raz jeszcze wygrales — mówi Paruch. — Ale zastanawiam się, co będzie jeśli ci karta kiedyś nie wyjdzie...

— Potrafie i przegrzywać.

— Napijemy się? — pyta Paruch.

pomyśleć, iż zbyt dużo wypił, idzie z hotelowej restauracji do recepcji

intymnie oświetlonym korytarzem, mijając całą parkę, potem jakiegoś zalanego egzotycznego mizantropa, który z kieliszkiem w ręku przemawia do ściennego kinkietu. Hotel trzeszczy w szwach, jak zawsze w czasie Targów. Za plecami stacęto perkusji, czasem histeryczny kobiecy śmiech, rytm tańca w tych zakamarkach przekształca się w miarowe dudnienie przypominające młockę cepami po klepsku. Jak dobrze, że to już za nami! Rozpina kombinezon, rozluźnia krawat, ma uczucie, że się dusi, boli go lewy bok, koszula lepi się do spoczonego ciała. Nie będę mógł zasnąć. Ale i tak nad zmęczeniem górę bierze radość, podnieca osiągnię-

się! I po co tak źle o chłopcu myśleć? Po co psuć sobie smak tej chwili?

W recepcji tłum Arabów blokuje przejście, Barycki przepycha się z trudem do telefonu i wykręca numer pokoju kierowcy z pamięci, taki maleńki test, nie jest jeszcze z tą pamięcią tak źle! Kaczorowski — stara gwardia! — czuwa przy aparacie, podnosi słuchawkę po pierwszym dzwonku.

— Słuchaj uważnie, Teodor — mówi Barycki zachrypniętym ze zmęczenia głosem. Wyjeżdżamy punkt szósta. O mnie się nie martw, będę punktualny. Ale przypilnuj dziewczynę. I mego zastępcę. Oni jeszcze popłynęli w Polskę, rano szukaj ich w razie czego po barach. Dzwon do nich

Dokończenie na str. 6

# „Soka-gakkai” CZYLI JAK Japończyk KOCHA BLIŹNIEGO

Dokończenie ze str. 1

Kiedy więc zaczęła się II wojna światowa, stowarzyszenie „Soka-gakkai” zostało zakazane, a sam Makiguchi zmarł w więzieniu w 1944 roku. Stowarzyszenie zostało reaktywowane dopiero w 1946 roku. Wtedy też wykształcona została interesująca struktura organizacyjna. Podstawową komórką jest rodzina, dziesięć rodzin tworzy „wieńiec”, 5 — 10 „wieńców” tworzy grupę, 5 — 10 grup — okręg i 5 — 10 okręgów — filie, w której skład zwykły wchodzi nie więcej niż 3 tys. rodzin.

Najwyższą władzą stowarzyszenia jest zjazd, ale praktycznie kieruje jego działalnością przewodniczący i dyrektor. Przewodniczącym „Soka-gakkai” jest aktualnie człowiek bardzo bogaty — Daisaku Ikeda, który objeżdża stolice wielkich i mniejszych państw, odwiedza uniwersytety, krzewiąc idee współpracy, pokoju, przyjaźni, radości... Był przyjmowany m.in. w Ameryce i w Związku Radzieckim.

Oblicza się, że „Soka-gakkai” skupia obecnie około 15 milionów członków. Budżet organizacji powstaje z dobrowolnych składek nie wszystkich członków, ale tylko liczących ok. 100 tys. osób „komitetu finansowego”. Razem z dochodami pochodzącymi z wydawnictw, wpływa do kasy stowarzyszenia każdego roku nie mniej niż 2 miliardy jenów (1 dolar USA = ok. 300 jenów).

Zasadniczym założeniem współczesnego „Soka-gakkai” jest przekonanie, że dobrobyt i szczęście społeczeństwa będzie rezultatem wysokiego moralnego przywrócenia. Co da się osiągnąć przez harmonijne połączenie religii (buddyzm i chrześcijaństwo) i polityki. Żłknięta wtedy antagonizmy klasowe, zapanuje harmonia.

„Soka-gakkai” występuje więc ostro przeciwko broni jądrowej, walczy o pokój, przeciwdziałając się korup-

cji w aparacie władzy współczesnej Japonii, zabiega o rozwijanie handlu między różnymi krajami, a m. in. między Japonią a Chinami, stara się rozwijać stosunki kulturalne, i naukowe...

I oto teraz jesteśmy gośćmi tego interesującego, choć jak się zdaje nieco idealistycznie usposobionego stowarzyszenia. Film się skończył. Wręczono nam kartki, na których powielono cyrylicą tekst piosenki nawołującej do pokoju między narodami. Słowa są japońskie melodia japońska, tyle tylko, że litery nam nieobce. Brzmi to dosyć zabawnie, wbrew intencjom naszych gospodarzy. Nie rozumiemy ani słowa z tego co śpiewamy wraz z całą salą:

„Wakai tikaraze arasi-o okoose

Warera dzijuno dzijuno  
Moeri seisi...”

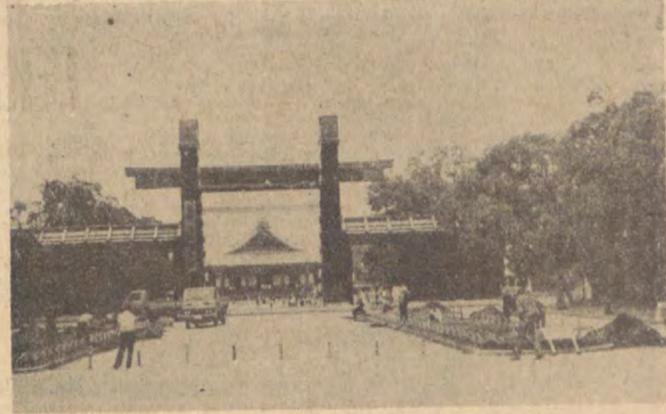
I tak dalej przez dwie zwrotki, każda z refrenem.

Potem na scenie odbywa się pokaz karate. Młody człowiek w stroju używanym u nas do walki judo, tyle że w kolorze zielonkawoszarym jednym uderzeniem pięści rozbija 7 z dziesięciu ułożonych jedna na drugiej dachówek, grubych, ciemnobrązowych, takich jakimi przykryta jest większość dachów w Japonii. Następnym ciosem rozbija trzy pozostałe. Inny kopnięciem bosej stopy złamał dwie deski trzymane oburącz przez koleżkę. Wrzeszcząc kulminacyjnie: chudy młodzieniec najpierw długo ustawia pomocników, przymiera się, wymierza odległość, a potem ciosami naprawdę jak błyskawice, używając kolejno pięści, otwartej dłoni, przedramienia i nogi połamanej w ciągu kilku sekund cztery grube deski trzymane także oburącz przez innych zawodników.

Karate w pełnym wykonaniu jest zabronione. Cios zadany przez trenowanego zawodnika może zabić, lub w najgorszym razie ciężko okaleczyć. W Japonii sport ten jest jednak szalenie popularny w postaci takich właśnie pokazów-konkursów, albo w postaci „klasycznej”, kiedy zadaje się ciosy tak wymierzone wszakże, by nie sięgały przeciwnika. Towarzyszy temu oczywiście cały rytuał, a między innymi okrzyki obliczone na psychiczne „obezwładnienie”.

Pokaz się kończy. W przerwie jesteśmy częstowani orzeszkami, „Coca-Cola”, sokiem pomarańczowym i jakimiś kawałkami pikantnego, słonego mięsa pochodzącego z morza (ryba? glonowóń, czy coś w tym rodzaju). Wymieniamy podarki. Od jakiejś skromnie odzianej dziewczyny, bardzo zresztą przejętej spotkaniem tak egzotycznych gości, otrzymujemy za folder o Łodzi i znaczek emalowany z łódką... paczuszkę, a w niej (jak się potem okazało) 5 innych paczuszek zawierających gumę do żucia.

I znowu przechodzimy wśród szpaleru żegnani okłaskami, okrzykami, u-



śmiechami, uściskami dłoni... Kończy się ten naprawdę udany wieczór w gronie młodzieży sympatycznej, gościnnej, miłej.

7.

Po trzech tygodniach, kiedy egzotyczna podróż po Japonii będzie się miała ku końcowi, spotkam jeszcze raz młodych członków „Soka-gakkai”. Tym razem niedaleko Tokio, w uniwersytecie tego stowarzyszenia, który ufundował obecny przewodniczący Daisaku Ikeda. Zwiedzimy najpierw niektóre audytoria, spotkamy się „oko w oko” z komputerem, a potem w sali projekcyjnej obejrzymy niezwykły film. Oto stadion olimpijski w Tokio. Jest rok 1967, odbywa się właśnie wielki festiwal „Soka-gakkai”. 30 tysięcy dziewcząt i chłopców zajmujących miejsca po przeciwnej stronie stadionu demonstruje to, co stanowi chyba siłę Japonii, co wyróżnia Japończyków w świecie — niesłychaną dyscyplinę.

Oto bowiem widzimy w kolorach naturalnych świętą górę Fudzi. Pod nią ukwiecone łąki, na pierwszym planie chwile się gałązka wiśni. Nagle krajobraz zmienia się. Ta sama góra w szacie zimowej, potem topnieją lodowce u jej szczytu, zmienia się pora roku. Inny obraz: na białym tle sylwetka czerwonego orła. Jak w filmie rysunkowym orzeł ożywa, przelatuje z jednego krańca stadionu w drugi. Dalej seria subtelnych obrazów stanowiących reprodukcje malarstwa japońskiego. Wrzesnie rozkwiata tezza, a pod nią „płyń” żaglowiec. Zafascynowany niesłychaną sprawnością, dyscypliną, treningiem, zgraniem owych trzydziestu tysięcy, którzy na jeden sygnał z fantastyczną dokładnością, poprzez zmianę okrycia, wyznaczają na miejscach siedzących stadionu olimpijskiego owe niezwykłe obrazy, zapominam, że to tylko film. Wydaje mi się, że jestem tam na stadionie, że widzę to naprawdę, na żywo. Film pokazuje też, że na płycie stadionu

jednocześnie i tamtymi, odbywają się także bardzo sprawne pokazy gimnastyczne niezliczonych rzesz młodzieży. Festiwal „Soka-gakkai” musiał zrobić ogromne wrażenie nawet na Japończykach, spokojnych, opanowanych, których trudno zdziwić.

Idziemy potem do sali teatralnej, aby dalej uczestniczyć w spotkaniu z młodymi członkami tego stowarzyszenia. Gospodarze twierdzą, że jest to pierwszy kontakt „Soka-gakkai” z Polską. Twierdzą też, że zadaniem ich stowarzyszenia jest przygotowanie człowieka do przyjęcia i tworzenia kultury XXI wieku. Na razie skończono chłopcy ubrani w zielone rubaszki tańczą „kaszczoka”. Nawet „prysłudy” udają im się znakomicie. Zespół taneczny działa od trzech lat, ale wyniki ma rzeczywiście godne uznania.

Czekamy niecierpliwie na zapowiedziany pokaz kendo. To także stary, szalenie popularny do dziś w Japonii rodzaj sportu. Zawodnicy ubrani są w tradycyjne stroje. Na twarzach maski z grubego drutu. Jest to w gruncie rzeczy walka na kij. Towarzyszą jej chrapliwe okrzyki, którymi „straszy” się przeciwnika. Gdy uczestnicy walki zdejmują maski okazuje się, że jednym z nich była dziewczyna. Radziła sobie bardzo dzielnie i strach byłoby wejść jej w drogę...

Jeszcze pokaz judo. Między innymi jeden zawodnik odpiera ataki 9 następników, w tym jednego uzbrojonego w długi miecz samurajski. I to już niestety koniec. Dopłamy z czarkę resztki sake: słabej, 12-procentowej wódki którą Polakowi naprawdę trudno się upić i znowu żegnając się bardzo serdecznie zostawiamy w nocnych ciemnościach wiatujących, japońskich przyjaźni, by wrócić do Tokio.

JÓZEF POTĘGA

(zdjęcie autora)

## OBYCZAJE

### Nasz bliźni — Kowalski

Dalszy ciąg ze str. 1

Dydaktyczno-wychowawcza działalność naszych bliźni Kowalskich daje się zauważyć na znacznie wyższych szczeblach, nie ogranicza się tylko do jednego przedszkola. Przed kilkoma tygodniami zaledwie, przeczytaliśmy w „Trybunie Ludu” małe artykuły na ten właśnie temat, zatytułowany — „Torturki dla amatorów”. Cytuję:

„Czy wiecie jak sfotografować ważkę? Ważkę należy złapać i skleić jej skrzydełka klejem. Owad, nie mogąc uciec w powietrze, lazi niemrawo po łodyżce i można go strzykać ile się podoba. Klej, a raczej lep, stosujemy również, gdy chcemy zrobić portret osy. Łapiemy ją mianowicie na lep i czekamy, póki się nie zmęczy. Gdy wrzeszcze zmierzuchnie, podpieramy jej główkę trawką, żeby patrzyła w obiektyw, pstryk i już gotowe.

Fotografowanie gąsienicy wymaga dużych zdolności manualnych. Trzeba bowiem na tył gąsienicy zarzucać małe arkany z nitki a jego koniec przypiąć szpilczką do deseczki. Gąsienica wyrzywa się, podnosi odwrót i już jest „upozowana”.

Po tym, co zostało podane, namówienie pasikonika do pozowania jest łatwą perswazją. Zwyczajnie zamykamy go w pudełko i po trzech dniach glodówki owad jest tak „oswojony”, że chodź powoli jak starzec i zaczyna pożerać pierwszy napotkany listek. Pstryk, pstryk... przyjemnej zabawy”.

To nauczanie początkowe dla torturujących, słusznie piktowane przez „Trybunę Ludu” o tyle jest powszechne, że ukazało się drukiem. Książeczkę Henryka Latosia pt. „77 tematów fo-

tograficznych” można — niestety — nabywać w naszych księgarniach, a biegać z aparatami po kraju i zagranicę nasz Kowalski ogromnie lubi.

Nasz bliźni Kowalski dość energicznie wypływa na szerokie wody bieżącego życia kulturalnego i naukowego. Krakowska „Desa” urządziła ostatnio wystawę w galerii na terenie Nowej Huty — być może — w ramach sojuszu świata kultury ze światem pracy. Z tej niebagatelnej okazji wydano katalog, w którym można przeczytać:

„Synktytyka wyznacza zbiór komunikatów kombinatorycznie możliwych. Logika określa w zbiorze komunikatów kombinatorycznie możliwych podzbiór komunikatów semantycznie aktywnych. Wyróżnia się komunikat przedmiotowy (semiotyczny). Wyróżnia się komunikat pojęciowy (semantyczny). Komunikat przedmiotowy jest to zbiór interpretowany informacyjnie, taki, którego sposób kodowania skłania do interpretacji pojęciowej przez sygnifikację. Każdemu komunikatowi pojęciowemu towarzyszy przynajmniej jedno zasilanie, może być mu także przyporządkowany zbiór stanów wyróżnionych przedmiotowy model komunikatu (pojęciowego)”.

Tak sobie prawdopodobnie wyobraża Kowalski z „Desy” język hutników, obytych przecież z komputerami i w ogóle najwyższą techniką. Upowszechnienie tego języka — jak można przypuszczać — wprowadzi absolutną jasność w nasze międzyludzkie stosunki.

A teraz jeszcze kilka słów o sukcesach Kowalskiego na polu naukowym. W Poznaniu odbyło się Międzynarodowe Sympozjum pod bardzo aktualnym hasłem — „Ochrona człowieka w środowisku pracy”. Z tej właśnie doniosłej okazji magister inżynier Maciej Gliński wydał druk w pięciu językach, który choć w części warto zacytować:

„ZGARNIANIE polega na prze-

sunieciu warstwy materiału za pomocą elementów sztywnych, stosowane przeważnie jako procesy wstępne.

ZMIATANIE polega na przesuwności warstwy materiału za pomocą elementów elastycznych (szcetek, zmiotek) stosowane najpowszechniej.

TRZEPANIE polega na wprowadzeniu w ruch poprzeczny podłoża w wyniku czego następuje odpadnięcie osiadłego na nim pyłu, w zasadzie nie stosowane w warunkach przemysłowych.

ZDMUCHIWANIE polega na wykorzystaniu ruchu powietrza do porwania i przemieszczenia warstwy pyłu, stosowane najczęściej w przypadkach oczyszczania powierzchni trudno dostępnych.

ZMYWANIE polega na wykorzystaniu ruchu wody do porwania, przemieszczenia i transportu materiału, stosowane szeroko w przemyśle.

ODSYSANIE polega na wykorzystaniu ruchu powietrza do porwania i transportu materiału. Ten nowoczesny sposób stosowany jest dotychczas w kraju niezbyt szeroko, ze względu na brak odpowiednich urządzeń.”

Nie dodać, niczego ująć! Wtedy i inne narody poznają, iż Kowalski nie gęsi — zgarniają, trzepią, zdmuchują jak i inni. Jedno może tylko trochę niepokoić — po co zaraz przyznawać się i to w językach obcych, że z odsysaniem u nas jeszcze nie najlepiej.

Nasz drogi bliźni Kowalski buszuje również w prasie, gdzie daje o sobie znać odwagą i przychylnością, nie mówiąc już o wyjątkowo cennym doborze tematów. Z „Głosu Szczecińskiego” można się było ostatnio dowiedzieć, że już w roku 1971 zapady w Szczecinie uchwały w sprawie rozwoju szaleństw publicznych. Problem był trudny, Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury rozgrzyzał ten problem trzy lata, ale rozgrzył, no i powstał plan rozwoju szaleństw aż do roku 1990. Brawo! Sek jednakże w tym, że miastu i tak przybywa tylko jeden szalec rocznie,

a „Elmet” dostarcza zaledwie 5 milisek pistawowych rocznie. W tę niepokojącą sytuację wkroczył ostro nasz reporter Kowalski, aby wywać miasto z kryzysu. „Potrzebna jest w tej dziedzinie radykalna zmiana” — pisał, przypominając nieco jednego z premierów międzywojennej Polski.

Ten przypadek odwagi nie należy do wyjątków. Kielecki reporter „Echa dnia” wykrzył, że w barze „Stokrotka” przy ulicy Rewolucji Październikowej, wałęsa się kot. Ten właśnie kot, jak nasz bliźni ustalił, załatwia się na podłogę, co poważnie rujnuje na obojętny stosunek personelu do fekaliiów, a klientów do serwowanych potraw. Jeżeli tak jest w „Stokrotce”, to co dzieje się gdzie indziej? Bystry reporter wykrzył z kolei nielegalnego koguta w posesji przy ulicy Sienkiewiczza 70, a więc na głównej ulicy wojewódzkiego miasta. Inni Kowalscy ustalili, że kogut prowadzi żywot nielegalny, ponieważ pieje, gdyby nie miał — byłby z pewnością całkiem legalny. Nasz dzielny reporter z miejsca kropnął princypialny artykuł i nie bacząc na konsekwencje, jakie spaść na niego i rodzinę mogą, domaga się od Urzędu Miejskiego zdecydowanego, jednoznacznego i kategorięznego stosunku do kota i koguta. Jak z tego widać nie tak łatwo rządzić miastem, w którym działają czujni Kowalscy.

Zresztą, między nami mówiąc, władze odgrzyzają się jak mogą. W „Expressie Poznańskim” przeczytaliśmy niedawno skargę pani Anastazji H. zamieszkałej na osiedlu „Przyjaźni”. Otóż z dokumentów, jakie otrzymała z Urzędu Stanu Cywilnego wynika czarno na białym, że wyszła za mąż za swojego własnego teścia, niezjącego od 37 lat, który — jeśli wierzyć polisie Państwowego Zakładu Ubezpieczeń — urodził się równo za 17.024 lata!

Tak więc swoisty pojedynek pomiędzy naszymi Kowalskimi trwa i w związku z tym niedługo jeszcze będziemy mogli zaobserwować.

WIESŁAW JAŻDYŃSKI

## OPINIE

### Czy WYNAŁAZCĘ MOŻNA SPOTKAĆ W PRZEDSZKOLU?

Poziom potencjału technicznego, a także poziom kultury materialnej współczesnego kraju (państwa) okresia min. ilosc i jakość wynalazków i wzorów użytkowych zgłoszonych przez jego obywateli, a także wpływy, jakie dany kraj osiąga ze sprzedaży za granicę własnej myśli technicznej. Taki bilans nie wypada dla nas najkorzystniej. Przyczyn tego jest wiele i to bardzo złożonych. Nie ma — oczywiście — powodu, aby popadać w kompleksy, bo nadbraliśmy zaległości powstałe w dalekiej przeszłości. Ale też właśnie z tej przyczyny powinno nam szczególnie zależeć na wychowywaniu ludzi utalentowanych, ambilnych, upartych i twórczych.

Od kilkudziesięciu lat na całym świecie psycholodzy, socjolodzy i pedagogowie pracują intensywnie nad uzyskaniem odpowiedzi na pytanie, czy jest możliwe wychowanie i wykształcenie wynalazcy? Na Węgrzech badania takie prowadził G. Polya, a w Związku Radzieckim Henryk Aliszuller. Czynnione liczne eksperymenty, które potwierdzały możliwość kształcenia wynalazców. W ZSRR działały nawet specjalne szkoły wynalazców. Wyniki były skromniejsze niż oczekiwano. Nie zrezygnowano jednak z prowadzenia dalszych badań. Są one może mniej liczne, ale za to o szerszej tematyce.

Amerykańskie i zachodniuropejskie ośrodki badawcze też nie mogą pochwalnie się wielkimi sukcesami w tej dziedzinie. Nadal więc nie ma jednoznacznej odpowiedzi, czy można wychować wynalazcę, stwarzając mu tylko warunki do prowadzenia badań. Tym bardziej że obecnie coraz więcej projektów wynalazczych, szczególnie tych o podstawowym znaczeniu, powstaje w wyniku działania zespołów twórczych, rzadziej pojedynczych twórców. Coraz częściej poza talentem, wiedzą i predyspozycją twórcza konieczna jest duża materiała, a więc laboratorium, aparatura i... pieniądze. W naszych warunkach dysponujemy określoną bazą materiałną, trzeba zatem rozstrzeżyć się za twórcami.

Część psychologów i pedagogów doszukuje się nawet początków osobowości twórczej już w wychowaniu przedszkolnym. Twierdzą oni, że właśnie wtedy rozpoczyna się proces kształtowania u dzieci osobowości biernej — konsumpcyjnej, lub aktywnej, mogącej się przekształcić w późniejszym czasie, w warunkach korzystnych, w postać twórczą. Stąd właśnie w niektórych krajach do programów pedagogicznych dla przedszkoli wprowadza się pewne formy wychowania twórczego, aby potem kontynuować to wychowanie w szkole.

Ważny jest też klimat, jaki otacza twórcę, nie mniej ważny niż uzyskiwane w działalności twórczej korzyści materialne. W wielu krajach racjonalizator jest doceniany, korzysta ze szczególnych przywilejów, ma korzystny materialnie ze swojej twórczości. Niestety, nie jest dla nikogo tajemnicą, że nie potrafią tak postępować niektórzy dyrektorzy naszych przedszkoli. A warto byłoby szczególnie teraz o tym pomyśleć, kiedy zaczynamy dopiero odzwalać deficyt rąk do pracy. A także kiedy problemem wielkiej wagi jest nieustanne wykorzystywanie rezerw.

Jakby naprzeciw tym potrzebom naszego gospodarki wyszli i polscy pedagodzy i psycholodzy. Grupa naukowców z Zakładu pedagogiki dorosłych Uniwersytetu Warszawskiego, pod kierunkiem dr Jadwigi Nowak, prowadziła przez szereg lat badania nad zagadnieniem wpływu pracy wychowawczej na rozwój ludzkiej myślowości.

Dr Jadwiga Nowak korzystała w swych badaniach z materiałów udostępnionych przez Urząd Patentowy oraz z materiałów archiwalnych postawionych do jej dyspozycji przez redakcję czasopisma „Wynalazczość i Racjonalizacja” (obecnie: „TEMAT”). Ogłoszona też otwarty konkurs na wspomnienie wynalazcy. Konkurs ten przyniósł badaczom bardzo bogaty materiał.

Wynik tych badań omówiła w swej książce pt. „Wynalazczość a wychowanie” dr Jadwiga Nowak. Autorka stwierdza z melancholią, że w naszym kraju nadal brak jest planowanego systemu twórczego wychowywania, mimo iż wzory do naśladowania są tak blisko, w Niemieckiej Republice Demokratycznej i ZSRR. Czemu zatem nie korzystamy z tych doświadczeń?

U nas wprawdzie wprowadza się pewne elementy twórczego wychowywania, jest to jednak działanie niesmiałe i na skromną skalę, a przy tym natrafiające na opory. Z tego powodu, na ewentualne wyniki (treba będzie czekać jeszcze długo, Czy nie zbyt długo, jak na nasze potrzeby?

KAZIMIERZ SKIBICKI

**ANDRZEJ BLAJER**  
**Kurier dyplomatyczny**

Aresztowania radiotelegrafistów w Genewie i Lozannie, spowodowały, że brygadler Roger Masson mógł wreszcie swobodnie oddechnąć. Miał przecież powód do odprężenia i osobistej satysfakcji. Słowa danego Schellenbergowi dotrzymał, a poza tym uniknął niebezpieczeństwa w postaci skierowania kanału łączności Rösslera. Skoro bowiem informacje przekazywane przez jego przyjaciół w Berlinie, przestały docierać do Moskwy, Niemcy muszą teraz stracić ślad. Tak, nawet gdyby jeszcze przez jakiś czas ich agenci próbowali coś wywęszyc, jest to z góry skazane na niepowodzenie. Rössler znajduje się przecież pod stałym nadzorem szwajcarskiego kontrwywiadu. Wszystkie informacje z Rzeszy przekazuje do Büro Ha, a Hausamann przesyła je jemu. Nie można oczywiście wykluczyć ewentualności, iż istnieje jeszcze jakieś pośrednie ogniwo w tym łańcuchu, o którym on, Masson, nie wie. Teraz jednak jest to już bez znaczenia. Szala zwycięstwa i tak przechyliła się zdecydowanie na stronę ZSRR i koalicji. Na wszelki wypadek nad Rösslerem rozłoży się jeszcze bardziej kontrola, aby w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa można było na czas zapewnić mu odpowiednią ochronę. Był przecież prawie bezzwrotnym źródłem informacji, a poza tym Schellenberg powinien być wdzięczny za oddaną mu przysługę. Zlikwidowanie takiej siatki wywiadowczej, to przecież poważny sukces. Masson zaś zyskał zarazem pewien atut. Już od dawna w rządzie i w Zgromadzeniu Federalnym, jak również w prasie, rozlegały się głosy (zwłaszcza pod naciskiem ze strony Rzeszy), że agenci obcych wywiadów działają w Szwajcarii całkowicie bezkarnie, a policja i kontrwywiad nie robią nic, aby temu przeciwdziałać. Teraz będzie można zamknąć im usta na jakiś czas. A o to przecież chodziło. Zresztą Masson nigdy nie żywił zbyt wielkiej sympatii do Rosjan. Zlikwidowanie tej grupy było więc i jemu w pewnym sensie na rękę. Co innego Amerykanie, czy Anglicy. Wiadomo, że działają, ale to przecież swoi. Było tylko robili to w miarę dyskretnie, nie powinno być kłopotów.

A Amerykanie faktycznie nie próżnowali. Od momentu pojawienia się nowego szefa misji dyplomatycznej USA w Szwajcarii, Dullessa, jej działalność uległa znacznej intensyfikacji i to nie tylko na forum oficjalnym. Posel amerykański był przecież bliskim współpracownikiem generała Williama Donovan'a szefa OSS. Toteż nie dziwnego, że głównym celem jego pobytu w Szwajcarii była właśnie działalność na rzecz owej instytucji. I to nie tylko jego samego, ale także całego personelu poselstwa. Beganie szła, się bowiem centrala OSS na Europę. Wybor ten nie był zresztą dziełem przypadku. Jedynie tam można było uchwyścić nici prowadzące do obozu przeciwnika, jedynie tam można było poznać wielkie tajemnice tajnego frontu. A przecież Szwajcaria stanowiła w tym okresie jego centrum.

Był rano, 23 sierpnia 1943 roku. Gerald Mayer, asystent do specjalnych poselstwa, szła poselstwa amerykańskiego w Szwajcarii, jak zwykle o tej porze pojawił się w swoim biurze. On także, podobnie, jak jego szef, Allen Dulles, pełnił w Bernie podwójną misję. Od 1942 roku, z polecenia Ministerstwa Wojny USA, Mayer kierował w stolicy Szwajcarii specjalną sekcją do spraw wojny psychologicznej. Jego zadaniem polegało na organizowaniu działalności propagandowej, wymierzonej przeciwko III Rzeszy. Toteż na biurku asystenta Dullessa piętrzyły się sterty broszur, biuletynów prasowych i agendy. Mayer nie przeznaczał na tę pracę z wyraźnym zdumieniem na twarzy przerzucał pobieżnie kartki dziennika urzędowego, gdy nagle jego sekretarz zaaonosował mu wizję pewnego człowieka, który przedstawił się jako doktor Brown. Mayer podniósł głowę z nad papierów. Jego wzrok nie wyrażał zbytniego entuzjazmu. Był to okres, gdy w Bernie, tak, jak w Lozannie, Madrycie, czy kilku innych stolicach krajów neutralnych, roilo się od tajnych agentów i rzekomych szpiegów. Mayer musiał więc umieć szybko rozróżniać dobre ziarno od plewów. Zapewne w oczach Szwajcarów także działalność Dullessa oraz jego współpracowników musiała uchodzić za wyjątkową i szpiegowską. Co do tego nie mogło być wątpliwości. Ale jak na razie Berno całkowicie przynikało na to oczy. Zresztą ludzie OSS zostali ostrzeżeni jeszcze w Waszyngtonie — jeśli dadzą się złapać, poselstwo amerykańskie wyprze się wszystkiego, oni zaś zostaną pozbawieni immunitetu dyplomatycznego. Należało więc uważać. Mayer oczywiście pamiętał o tym. W czasie swego pobytu w Szwajcarii nigdy dotąd nie rozmawiał z człowiekiem o tym nazwisku. Polcił jednak sekretarzowi, aby wprowadził doktora Browna do gabinetu, przy czym dodał: „Niech mu pan powie, że mogę mu poświęcić nie więcej niż dziesięć minut”. Człowiek, który wszedł za chwilę do jego biura, zaczął od bliźszego przedstawienia swojej osoby. Powiedział, że jest przyjacielem pewnego bankiera, którego Mayer poznał kilka miesięcy temu. „To właśnie on skierował mnie do pana”. Z dalszych słów doktora Browna wynikało, że jest Niemcem, ale nie ma żadnych powiązań z reżimem hitlerowskim. Twierdził, iż obecnie jest obywatelem jednego z państw latynoskich, którego nazwy jednak nie wymienił. Od dłuższego czasu szuka możliwości kontaktu z aliantami w celu

Dalszy ciąg na str. 10

**LITERATURA**

Dokończenie ze str. 4

oczami za Maliną, najpiękniejszą w tym tłumie. Jej długie włosy, o miedzianym połysku w rytm tańca zdają się chłostać obnażone ramiona i pęcy. Ten widok powinien mnie podniecać, myśli Plichocki, czemu jej uroda na mnie w tej chwili nie działa? Wszystko przez ten niepokój. Diabli nadal, wyglupiłem się. Co za pomysły, żeby tak się zaangażować. Po co było narażać się Staremu?

Orkiestra gra staromodne tango, dziewczyna nieoczekiwanie zjawia się przed nim, wyciąga obie ręce.

— Zatańczymy?  
— Tak, z tą dziewczyną to dopiero byłaby miłość. Jest szczupła, lecz wcale nie chuda, ma duże piersi i chyba nie nosi biustonosza. Plichocki czuje w tańcu ich prężność, ich ciepło, dotyk jej ciała. Ech! do licha, po cóż się dręczył przykrymi myślami.

— Podrywasz tego pięknego Włocha? — pyta Malinę.

— Coś ty?

— Uważaj, bo cię zbiję na kwaśne jabłko! — mówi nachylony do jej ucha. — Nawet za tę całą umowę w ciebie Włochom nie oddał.

— Nie bądź dziecinny — śmieje się Malina. — Nie lubię takich... takich kogucików. Kiedy spotkamy się w Warszawie?

— Kiedy zechcesz...

Na sali jest ciemno, Plichocki pochyla się i wargami smakuje przyjemnie gorzkawą od wody kolońskiej czy dezodorantu skórę. Westchnienie Maliny. Ciekawe czy to temperament czy gra? przyciska się biodrami bezwstydnie i obiecująco. Teraz reflektor czerwony, trzeba się wyprostować, ochłonąć, za bardzo się poddałem nastrojowi, hola, moja panno, tańczymy chłodno, cool, miłość też może być chłodna, cool love, a te twoje westchnienie i zagrywy z biodrami, czy to szkoła Stodoły, czy kwalifikacje zawodowe?

Stary, myśli, ten drań! Tak w mnie orali! Nie miałem ani chwili dla siebie. Kto by uwierzył? Trzy wieczory z rzędu — i trzy konferencje, każda prawie do północy. A w dzień diabełski młyn targów. Uff, długo to pomijać. On umie z ludźmi wycisnąć siódme poty! Ze sam to jeszcze wytrzymuje? Czekamy na zawał, jak mówi w Ministerstwie. Dla mnie powinieli jeszcze pożyć rok, dwa, żebyśmy dojrzał, dorósł, i w pełni przygotował się na ten stołek. Znowu dał mi lekcje ile mogę się od niego nauczyć. Targi to jego pokazowy numer. Kawał starego skurwysyna. Właściwie go nie lubię. Nie da się lubić. Poganią, tyle że bez bata w rękę. Ale tak naprawdę to go podziwiam. U nas nikt mu nie dorównuje. Dawniej — może Zarychta, chociaż to całkiem inna formacja. Jeszcze neandertalczyk. Ech, co tam. Za dwa, trzy, za pięć lat ja będę lepszy niż Barycki w swym szczytowym okresie!

— O czym myślisz? — pyta Malina.

— Nie odpowiada, tylko się uśmiecha, ćwiczy palcówki na kręgach jej karku.

— Stałeś się nieobecny — mówi dziewczyna — Natychmiast to odczulam.

— Bo przypomniałem sobie, że mam jeszcze jeden teleks do załatwienia.

— Nie możesz tego odłożyć do jutra?

— Nie. A zresztą już jest jutro — mówi Plichocki — Muszę teraz spłynąć. Ani mi się wał kombinować z którymś z tych Włochów. Doktor Paruch będzie ciebie miał na oku i jutro mi powie.

— Nie wyglupiasz się. O której wyjeżdżamy?

— Punkt szósta. Kto nie zdąży, będzie się tłukł koleją. Serio! Stary taki jest.

— Zadzwońisz do mnie w Warszawie?

Plichocki nachyla się, całuje ją w usta.

— Mam twój numer — mówi — Warszawo, ty moja Warszawo...

Zostawia dziewczynę na parkiecie i tak zaraz dopadnie ją ten wymuskany Włoch. Paruch z daleka daje jakiegoś znaki, inżynier przepycha się do stolika.

— O co chodzi? — pyta i spogląda za siebie, na parkiet teraz po nowej zmianie reflektora złoto-żółty. Malina, zapatrzona w swego Włocha, z uniesionymi rękami kołysze całym ciałem w rytm melodii.

— Przecież to nie taniec. To coitus — mówi doktor Michał Paruch i nie wiadomo czy w głosie jego brmi podziw czy odrza. — Zostaje pan jeszcze?

— Ledwie zięć.

Przypychają się więc mrocznym, pełnym par przejściem do hallu hotelowego, potem windą na czwarte piętro. — Dobranoc, budzenie zamówione! — mówi Plichocki od swych drzwi. Zamyka je za sobą, zrzuca marynarkę, jedną ręką ściga krawat i jednocześnie drugą w pośpiechu wykręca numer hotelowej centrali. Zamawia międzymiastową, swoje warszawskie mieszkanie, dopiero potem spojrzem na zegarek: pierwsza czterdzieści. Już jest połączenie, głos żony, zaspany, bez niepokoju, bo zna przecież jego zwyczaj.

— Czy coś się stało?

— Bardzo, cię Kocham, — mówi Plichocki.

— Ale czy coś się stało? Tylko co zasnąłem i...

— Bardzo tęsknię.

— Jesteś pijany? Wiesz, jak ciężko zasypiam...

— Dlaczego miałbym być pijany?

— O tej godzinie...

— Moja droga! Na miłość każda godzina jest dobra. Wracam rano, prosto do biura, ale postaram się wcześniej być w domu.

— Nawet mnie nie zapytasz, co z moją wystawą — mówi Maria Plichocka i odkłada słuchawkę.

Plichocki przez chwilę przeżuwa tę przykrość. W ich miłości to on zawsze jest urażony. Rozbiera się, bierze

wał jej dłoń. Nie odchodził. Otworzyła więc drzwi i manewrowała tak zręcznie, by wejść do pokoju przez wąską w nich szparę. Dobranoc! Ale drzwi nie dały się zamknąć. Casanova zdążył w szparę wetknąć stopę w modnym, wyglansowanym buciku, mówił coś błagalnym szeptem i Malina, na dobre już wystraszona, spostrzegła, jakie ten chłopak ma nieprzytomne oczy. Winda zatrzymała się na tym piętrze, lada chwila wysypią się z niej jacyś ludzie, a tu taka niesmaczna scena. Zdecydowała się więc działać, z najpiękniejszym uśmiechem wychyliła się, wyciągnęła dłoń, jakby chcąc amanta pogłodzić po śniadym policz-

Plichocki przypomniał jej któregoś z francuskich filmowych amantów. Czy nie Delona? Był bardziej męski, może mniej efektowny, ale podobał jej się od pierwszego wejrzenia. Wyczuła to i od razu zaczęła pozwalać sobie na drobne poufałości. A potem — zaraz pierwszego wieczoru — zapukał do jej drzwi. Zaważała się, czy go wpuścić, ale powiedział coś służbowym tonem, więc otworzyła i wtedy on wszedł i zamknął za sobą drzwi na klucz. Wiedziała co to zapowiada, on myśli, że ze mną tak można. W oczach Plichockiego był szyderczy półuśmiech. Jeszcze się bronila przed pokusą. Uważa mnie za dziwkę. Nie chcę, nie życzę sobie. Roześmiał się i nie dokończyła zdania, które miało wyrażać jej sprzeciw. Objął ją i zaczął całować, tylko bez komedii, moja mała, rozpiął ekler sukienki, był cyniczny, zręczny, silny, tak się jej podobał. Gdy już była niemal gotowa przyjąć tę przygodę jak wypadek losowy, właśnie wtedy zadzwonił telefon. Nie odbierał, mówił pochylony nad nią. A jeśli to Barycki? Miał zadzwonić. Nie przyjmij, powtarzał, a telefon wciąż dzwonił. Wyciągnęła rękę po słuchawkę, usłyszała głos Baryckiego, to ją otrzeźwiło, uwolniła się z objęć Plichockiego. Tak, oczywiście, już biorę długopis. Ale Barycki nie lubił wydawać poleceń przez telefon. Jestem w pokoju konferencyjnym z jednym z Włochów, niech pani tu przyjdzie za pięć minut. Nie wie pani gdzie przepadł dyrektor Plichocki? Nie wiem — powiedziała dając na migi znak, że Stary go szuka. Tak się skończył ten nie zaczęty ich hotelowy epizod.

A potem, przemyślawszy to wszystko, uznała, że tacy jak Plichocki, nie cenią łatwych zdobyczy. A jej przecież zależało i na Baryckim, i na Plichockim. Za wszelką cenę chciała zmienić pracę i bliźnię obok Baryckiego dostrzegła swą trampolinę, miejscem z którego mogłaby skoczyć w świat. To jej się marzyło. Miała zresztą formalne kwalifikacje, była z wykształcenia ekonomistką, znała języki. Gdyby tylko Barycki zechciał. Może praca w którejś z placówek handlu zagranicznego, w polskim firmowym przedstawicielstwie. W świat, w świat, w świat! O tym marzyła. Więc żadnych łatwizn z Plichockim! Romans — tak. Ale na razie; bezłóżkowy.

Poprzednia praca jej zbrydała, niełatwo być ładną dziewczyną wśród mężczyzn, z których wielu nie ma skrupułów. Zrobiła parę błędnych kroków, lubiła flirtować. Inteligencja przewyższała wielu mężczyzn, a mimo to czuła, że w swej obecnej pracy jako firmowa ładna dziewczyna nie może już liczyć na poważne traktowanie.

Wszystko to było meżące, skomplikowane i dotąd bez perspektyw. Teraz nie chciała o tym myśleć. Uśmiechała się i ten uśmiech miał ją chronić przed przykrymi myślami. Gorąca kąpiel wzmagala uczucie znudzenia. Ciekawe jakim kochankiem okazałby się Plichocki? Z wolna swym zwyczajem zasypiała w wannie. Te cztery dni, takie meżące! Napracowała się solidnie, konferencje całymi dniami. Mężczyźni tacy powolni. Kobiety, nawiąły do zakupów, ubiłyby ten interes dumpy szybciej. Ale kobiety nie są szlachetne. Wolą mężczyzn.

Zasnęła. Kąpiel stygła. O piątej zadzwonił telefon. Zbudziła się nie od razu, telefon terkołał parę minut uparcie, nieustępliwie. Wreszcie wyskoczyła z wanny, drząc od chłodu, owinięła się w przeszcieradło kąpielowe i podniosła słuchawkę.

Dzwonił Kaczorowski ze swego pokoju, ten wróg piżam, sam jeszcze w podkoszulce, rozczochrany, nieogolony. W podróżach z Baryckim (przez trzydzieści lat z nikim innym nie jeździł) ranne budzenie należało do jego obowiązków. Ma w tej dziedzinie wielkie doświadczenie i wie, że najtrudniej dobudzić się dziewcząt. Różnie z tym bywało. Kaczorowski, wielki moralista woli nie wracać do wspomnień z dawnych lat. Barycki — przyjaciel bo przyjaciel, ale zawsze grzeszył na własny rachunek. A zresztą to stare dzieje.

— Niech pani się szybko ubiera, za pół godziny jeszcze raz zadzwonię — mówi Kaczorowski. Po tamtej stronie przewodu słychać tylko głośne ziewnięcie.

Kaczorowski myje się i goli, a potem dzwoni raz jeszcze — akurat po piętnastu minutach, gdy i Plichocki, i Paruch w swych pokojach kończą pospieszną ranną toaletę. Znowu musi długo czekać, nim dziewczyna podniesie słuchawkę.

— Czy na pewno już się pani ubrała?

— Teraz już tak.

— Czy mam jeszcze raz zadzwonić? — Nie. Już nie trzeba.

Kaczorowski chrząka znacząco — Inżynier Barycki bardzo nie lubi, gdy ktoś się spóźnia.

Chwila ciszy i głos dziewczyny, teraz już naprawdę wyrwanej ze snu — Dziękuję panu. Na pewno się nie spóźnię.

WACŁAW BILIŃSKI

Fragment powieści pt. „Wypadek”.

**TARGI**

tusz: jest muskularny, młody, nie wygłada na swoje trzydzieści osiem lat, świetna kondycja. Z natury jest optymistą; dlatego po chwili doznana przykrość mniej już dolega. Wrsca myślaniami do dzisiejszej konferencji, od tego solowego popisu Baryckiego. Uczucie się trzeba, terminować jeszcze parę lat. Byleby jutro jakoś zρέcznie zatuzować tę niepotrzebną demonstrację. Dlaczego musiałem się w to tak

ku i szybkim ruchem zburzyła jego starannie uczesaną w pukle i wybrilantowaną czuprynę tak, że młody Włoch przekształcił się w papuśsa. Z windy wychodzili rozweseleni goście.

Poskutkowało. Agresor cofnął się, by uporządkować fryzurę. Malina zatrzasnęła mu przed nosem drzwi, oparła się o nie plecami, postawiła oczy w słup i wesoło się roześmiała. Osta-



zaangażować? Przecież można to było potraktować ostrożnie, z pozycji outsidera...

tecnie wszystko, co się dobrze kończy, można uznać za dobre.

Malina w świetnej formie wytrzymała z trzema najbardziej niezmordowanymi Włochami do godziny czwartej nad ranem. Gdy poęgnęła się z młymi gośćmi, jeden z nich, oczywiście właśnie ten młody i jak

W chwilę później naga i znów beztrosko wesoła robiła sobie kąpiel. Gdy wanna napełniła się gorącą wodą, z wysoko podwieszanymi włosami, zmżywszy maquillage, zanurzyła się w kąpeli z westchnieniem ulgi. Była zmęczona i zadowolona. Tak się stawało, by wszystko wyszło jak naj-



Rys. J. Szymański-Głanc

się okazało nieustepliwy piękniś, zaferował jej swe towarzyswo: niby że nie wypadła młodej damie o tej porze samej wędrować po zakamarkach ogromnego hotelu. Nie mogła się w żaden sposób od niego uwolnić, pojechali razem windą na siódme, Malina, piętro, dziewczyna była lekko zmiecipliwiona, ale nie okazywała tego, tylko ze złości przygryzła, swym zwyczajem, dolną wargę. Włoch deklamował półszepem jakieś erotyki, ścisnął jej ramię, zaglądał w oczy, gdy zatrzymali się przed drzwiami jej pokoju, długo, z zapamiętaniem cało-

lepiej! Wychodziła po prostu ze skóry! Tak jej na tym zależało. I chyba się udało. Błysnęła nienaganą wloszczyzną. Nastrój był dobry. Jedzenie świetne. I w tym też jej zasługa, bo nawet układ menu przywiozła ze sobą w paru wariantach, po licznych i wnikliwych konsultacjach w kręgu ludzi byłowych. Starala się też ocałować tego starego zółwia, Baryckiego. Tak jej na tym zależało! Czy on dostrzegł te jej starania? Flirt z Plichockim natomiast wynikił nieoczekiwanie. Teraz, gdy o tym pomyślała, nastrój jej na chwilę przygasł.

# HISTORIA ŁODZI

Z redaktorem naczelnym „EXPRESSU ILUSTROWANEGO” — MARKIEM REGLEM rozmawia Lucjusz Włodkowski.



Foto: W. Parys

— W styczniu 1946 roku ukazał się w Łodzi pierwszy numer „Expressu Ilustrowanego”. Niewiele dziś czytelników pamięta zaczęcie z tamtych lat. Czy bardzo się różniła ona od dzisiejszej populudniówki?

— Niewątpliwie tak. Inne były czasy, inne sprawy, inny czytelnik. Ale jest coś, co poza nazwą gazety łączy jej pierwsze numery z tymi, które dziś wydajemy. Jest to stosunek do miasta, do ludzi i ich spraw.

Od samego początku „Express Ilustrowany” zaczął pokazywać ludzi, którzy chronili maszyny przed okupantem, uruchamiali fabryki, podejmowali cenne inicjatywy na rzecz szybszego odradzania przemysłu w Łodzi. Gazeta pokazywała ludzi, którzy w drodze awansu z robotników stawali się dyrektorami, kierownikami, którzy brali na siebie odpowiedzialność za trudne ówczesne sprawy. Dziennikarze „Expressu Ilustrowanego” towarzyszyli tym ludziom, pisali o nich, byli świadkami ich przyjęcia przez załogi, pisali o ich problemach, trudnościach i sukcesach.

— I takim sprawom gazeta pozostała wierna do dziś.

— Pozostała wierna sprawom miasta, jego mieszkańców. Ambicją dziennikarzy naszej gazety zawsze było iść w parze z tym, czym żyje miasto. Pewnie, że różnie to się udawało i udaje. Raz lepiej, raz gorzej.

Jeżeli jeszcze można wrócić do przeszłości, to chciałbym przypomnieć, że „Express Ilustrowany” od samego początku towarzyszył Łodzi: akademickiej, pisząc o jej sprawach, kłopotach i osiągnięciach. A poza tym — co też warto przypomnieć — gazeta nasza pisała od samego początku swego istnienia o planach rozwoju Łodzi. Kiedy dziś czyta się o tych zamierzeniach, marzeniach i prognozach, to wydają się one bardzo skromne, nie ma w nich wielkiej fantazji, rozmachu, ale wiele z tego, o czym wtedy myślimy w późniejszych latach znalazło urzeczywistnienie.

— Czy zespół „Expressu Ilustrowanego” orientuje się, kto czyta waszą gazetę?

— Tak. Przede wszystkim robotnicy. Ale w ostatnim okresie rozszerzyliśmy krąg czytelników. Czytają nas również kierownicy przedsiębiorstw. Coraz więcej czyta nas młodzież.

— W jaki sposób zdobywacie wiadomości o waszych czytelnikach?

— Po pierwsze — poprzez listy, jakie otrzymujemy. Po drugie — poprzez bezpośrednie kontakty z czytelnikami, którzy licząc przychodzą do naszego działu łączności z czytelnikami. Po trzecie — poprzez spotkania z czytelnikami.

Ostatnio odbyliśmy kilka spotkań w wielkich zakładach przemysłowych. Spotkania te organizujemy pod hasłem: „Załogi i kierownicy EXPRESSU ILUSTROWANEGO”. Takie spotkanie odbyło się między innymi w Pabianicach i w Kombinacie Tekstylny-Konfekcyjnym „Teofilów”. Wiele do myślenia mnie osobiście, a chyba również i innym członkom naszego zespołu, dało to ostatnie spotkanie. Robotnicy „Teofilowa” chwaliłi naszą gazetę, ale też ostro i rzeczowo wytykali błędy i niedopatrzności. Podobne spotkanie chcemy zorganizować z młodzieżą LZPB im. Obrońców Pokoju — „Unioptex”. Chcemy z młodymi robotnikami tego zakładu przedyskutować problemy młodzieżowe, jakie poruszaliśmy na łamach naszej gazety i plany, jakie mamy w tej dziedzinie.

— Pisanie na ten temat nie jest rzeczą łatwą. Można bowiem pisać o młodzieży i można pisać dla młodzieży. Wiele gazet potknęło się już na próbach wyodrębnienia takiej tematyki.

— Zdajemy sobie z tego sprawę. Dyskutowaliśmy o tym w zespole. Były nawet takie głosy, aby stworzyć

coś w rodzaju dodatku dla dzieci. Były też i inne propozycje.

— Jaką przyjęliście koncepcję?

— Chcemy podejmować te problemy, które pomogą młodym w zrozumieniu współczesności, w jej adaptacji w „dorosłym” życiu. Będziemy pisać o rodzinie, o tym, co niesie z sobą pierwsza praca, o karierze i sukcesie, o zawodowych ambicjach. Zdajemy sobie doskonale sprawę, że musimy to robić bardzo dobrze, że musimy pisać mądrze, tak, aby to interesowało zarówno młodych jak i dorosłych.

— Jak się można spodziewać będzie to w większości publicystyka. W dotychczasowym modelu tzw. populudniówek publicystyka znajdowała się zawsze daleko w tyle za informacjami. „Express Ilustrowany” od pewnego czasu więcej uwagi poświęca publicystyce. I trzeba przyznać, że robi to z coraz lepszymi rezultatami, choć uprawianie publicystyki w tego typu gazecie nie jest rzeczą łatwą.

— W tradycyjnym modelu populudniówki istotnie mniej uwagi poświęca się publicystyce, choć już wiele gazet wychodzących po popołudniu odchodzi od prymatu informacji i to bardzo różnie. Myślimy też przed trzema laty zastanawiali się nad tym i chyba słusznie postanowiliśmy odejść od tradycji.

— Co leżało u podstaw tej decyzji? — Spróbowałbym odpowiedzieć sobie na pytanie, jakie jest nasze miejsce na czytelniczej mapie Łodzi.

Tu chciałbym zrobić małą dygresję. Podstawowa część nakładu „Expressu Ilustrowanego” rozchodzi się w Łodzi i miastach obecnego miejskiego województwa łódzkiego. Pewne ilości egzemplarzy naszej gazety sprzedajemy w województwach północnym, śląskim, świętokrzyskim i łódzkim. Od lat mamy czytelników np. w Ko-

się, że dorobiliśmy się już takiej publicystyki, choć to nie zwalnia nas z obowiązku dalszego jej doskonalenia. Spotykaliśmy się nawet swego czasu z obawami, że poświęcenie więcej miejsca publicystyce może spowodować spadek poczytności „Expressu Ilustrowanego”.

— Ale tak się nie stało?

— Nie. Przeciwnie, zdobyliśmy nowych czytelników. A przy tym — co jest bardzo ważne — zacieśnił się nasz kontakt z czytelnikami. Musieliśmy stworzyć dział łączności z czytelnikami. Ludzie bowiem przychodzą do redakcji nie tylko z prośbą o interwencję, przychodzą też, kiedy są czymś podenerwowani, czymś ucieszeni, kiedy chcą pochwalić się swoimi sukcesami, kiedy mają jakieś pomysły. Z tych kontaktów — listownych, osobistych, telefonicznych — czerpiemy materiał do naszych publikacji.

— Są one inspiracją dla waszej publicystyki.

— W dużej mierze. Na przykład z kontaktów z kobietami pracującymi narodziło się wiele publikacji, w których podejmujemy interesujące je problemy.

— Z lektury „Expressu Ilustrowanego” widać, że nie rezygnujecie z informacji, a także z tej, którą można byłoby określić mianem sensacyjnej.

— Informację traktujemy bardzo szeroko. Uważamy, że ludzi interesuje zarówno to, co dzieje się w mieście, w fabryce, w innych zakładach, w kraju, w świecie. Interesuje polityka, kultura, nauka, technika. Nie chcemy rezygnować z problematyki obyczajowej, z ciekawostek, z informacji o tym, co ciekawego dzieje się na świecie i to w różnych dziedzinach życia. Sensacja — dobrze pojęta — też spełnia swoją rolę. A cała sztuka polega na tym, aby znaleźć właściwe proporcje między różnorodną informacją i publicystyką. Poza tym w informacji z miasta można też sygnalizować pewne problemy, propo-

cy prawni, ale ich rola polega na służeniu dyrekcji, wyszukiwaniu takich rozwiązań prawnych, które uzasadniałyby decyzje kierownictwa. A przecież radca prawny powinien również służyć pracownikowi.

— Nie chciałbym powiedzieć, że inne gazety nie prowadzą różnych akcji organizatorskich, ale wydaje mi się, że akcje „Expressu Ilustrowanego” są chyba tym, co stanowi szansę na ugruntowanie specyfiki tej gazety.

— Przede wszystkim słowo „akcja” dla określenia roli organizatorskiej prasy, wydaje mi się niewłaściwa.

— Czy dlatego, że zamyka ono działanie niejako już z góry w pewnym czasie?

— Również dlatego, że z pojęciem tym wiąże się pewna doraźność, co niejako przesądza o jej skutkach.

— Musimy jednak pozostać przy tym określeniu, gdyż innego nie ma.

— I ja nie widzę innego określenia, chociaż świadomy jestem niedoskonałości tego pojęcia. A ta niedoskonałość bierze się również i z tego, że dopóki redakcja pilotuje taką akcję, dopóki wywiera nacisk na instytucje, które powinny z nią współpracować, to akcja trwa. Życie jednak niesie nowe zadania i gazeta musi się nimi zajmować, wtedy dana akcja pozostawiona współpartnerom najczęściej po prostu umiera.

Jeśli chodzi o nasze akcje, to staramy się nie tylko o te największe, ale również zwracamy wiele uwagi na te pozornie drobne, a przecież bardzo istotne. Na przykład postanowiliśmy pokazać lodzianom ich miasto. Niby nie wielkiego, bo każdy powinien je znać. A okazało się, że nie, że o nowych dzielnicach wiedzą z telewizji, prasy, z opowiadań, ale sami tam nie byli. Wielu ogranicza się do kursowania po utartych trasach między miejscem pracy, sklepami w centrum, czy w swojej dzielnicy. Jedni nie byli na Dąbrowie, inni na Teofilowie, inni na Zarzewie itd. Kiedyś zorganizowaliśmy wycieczki po Łodzi z przewodnikiem, to wielu ludzi zobaczyło dopiero swoje miasto. Sprawa wydawałaby się niewielką, a jednak kwil w niej ogromny walor proszandowo-wychowawczy.

Podzieliliśmy też akcje na rzecz kobiet pracujących. Nazwano się to „Ułatwiamy życie rodzinie”. Chodziło nam między innymi o to, aby w fabryce był kiosk, gdzie kobieta mogłaby sobie kupić podstawowe towary, aby łatwiej mogła zaopatrzyć się w mrożonki, aby miała gdzie pod opieką zostawić dzieci. Prowadziliśmy też akcje „Samonoc noc sąsiadka”, dając do integracji mieszkańców nowych osiedli.

— A co z okazji jubileuszu?

— W numerze jubileuszowym występujemy z hasłem: „Z EXPRESSEM pracujemy na plątkę”. Przygotowujemy znaczek, który uczestnicy tej akcji — choć tu znów odczuwam małą polemność tego pojęcia, ale nie mam go czym zastąpić — będą mogli umieszczać przy swoim stanowisku pracy. O tych, którzy będą rzeczywiście pracowali na plątkę będziemy pisali na naszych łamach, będziemy pokazywali ich trudności, ich drogę do sukcesu. Najlepszych chcieliśmy pod koniec roku wyróżnić nagrodami.

— A poza tym?

— Poza tym odbyła się już „Rewia rewii”, na której pokazaliśmy modę na co dzień, bal na łódzie dla dzieci i wiele innych atrakcyjnych imprez.

Największą jednak naszą imprezą, do której przywiązujemy wielką wagę, to konkurs dla dziennikarzy z innych populudniówek oraz dla fotoreporterów z tygodniowych pism ilustrowanych. Gościłiśmy już ich w Łodzi. Zaproszenia wysłaliśmy do naczelników redakcji, którzy delegowali dziennikarzy, zobowiązując się tym do publikowania ich materiałów. A to dla nas sprawa najważniejsza, gdyż w ten sposób mamy możliwość opublikowania reportaży o łódzkich przemianach w całej prasie populudniowej i w tygodnikach. Do oceny będziemy przyjmowali materiały już opublikowane.

— Czy zamierzacie je później wydać w książce?

— Mam taki zamiar, ale trudno w tej chwili dać konkretną odpowiedź, nie wiemy bowiem co ten konkurs przyniesie. W każdym razie przyniesie niewątpliwie popularyzację naszych spraw i pokaże, że Łódź otrzymała wprawdzie — jak to mówią w innych miastach — miliardy złotych na swój rozwój, ale potrafiła też wydać je z pożytkiem dla mieszkańców miasta. I to jest cel najważniejszy tego konkursu.

Planujemy też konkurs dla fotoreporterów, w wyniku którego powstałaby objazdowa wystawa fotograficzna o Łodzi. Pokazalibyśmy ją w zakładowych domach kultury całego kraju, a przynajmniej w większych ośrodkach przemysłowych.

— W imieniu zespołu „Odgłosów” i naszych czytelników życzę „EXPRESOWI ILUSTROWANEMU” dalszego rozwoju, powodzenia u czytelników i coraz sprawniejszego spełnienia waszych zamierzeń.

— Dziękuję w imieniu naszego zespołu i naszych czytelników.

## 30 LAT WIERNA SPRAWOM MIASTA

luskach, Brzeziniach czy Tuszyńcu i nie chcemy z nich rezygnować. Są oni związani z wielkoprzemysłową klasą robotniczą Łodzi.

— Pracują w Łodzi i interesują ich sprawy miasta.

— Niewątpliwie.

— I często o tych sprawach dowiadują się przede wszystkim z „Expressu Ilustrowanego”.

— Swego czasu istniał pogląd, że populudniówka to taka prasowa „druga liga”. Myślę, że ten pogląd należy już do przeszłości. W każdym razie postanowiliśmy w naszej praktyce redakcyjnej zerwać z nim ostatecznie. Wyszliśmy z założenia, że gazeta populudniowa ma do spełnienia podobną rolę jak każda inna, tyle tylko, że dociera do innego czytelnika i to musi w pierwszym względzie mieć na uwadze.

— Byłoby czymś idealnym, gdyby każdy czytelnik kupował trzy codzienne gazety wychodzące w Łodzi, nie licząc prasy centralnej.

— Ale w praktyce jest inaczej. Wielu naszych czytelników ogranicza się tylko do naszej gazety. A więc musi ona docierać do niego z tym wszystkim, co prasa ma do przekazania, musi spełniać taką samą rolę jak inne gazety, z tym tylko, że musi ją spełniać inaczej. Musi informować o programach partii, postanowieniach rządu, informować o wydarzeniach w kraju i na świecie, a przy tym nie zapominać o tym, co dzieje się w mieście i województwie.

— Jakże z tego wnioski praktyczne?

— Pierwszy to ten, o którym już wspominałem: odejście od tradycyjnej koncepcji populudniówki, która dostarczała przede wszystkim informacje i to często te z posmakami sensacji. Drugi — więcej miejsca dla publicystyki. Pod warunkiem jednakże, że nie będziemy robili jej na podobieństwo „Głosu Robotniczego”, „Trybuny Ludu” czy „Dziennika Populudniowego”.

— Jest to zatem rodzaj publicystyki bardzo trudny. Wymaga on operowania skrótem myślowym, który musi być dla czytelnika komunikatywny.

— W ogóle pisać krótko jest bardzo trudno. A tu trzeba i krótko i komunikatywnie. Mielśmy z tym i mamy sporo trudności, ale wydaje

# BOKS

NORMAN MAILER

MUHAMMAD

ALI

KONTRA

GEORG

FOREMAN

Rozpoczął się trzeci akt dramatu. Finałem drugiego było niepowodzenie huraganowego ataku w piątej rundzie, kiedy to Foreman nie zdołał zniszczyć opartego o liny Aliego — drugi akt rzadko kończy się tak efektywnie. Ostatnie dziesiątki sekund stworzyły jednak nowy problem — w jaki sposób zapadnie Wielka Kurtyna? Bo jeżeli Foreman był wyczerpany, to Ali przejawiał oznaki dużego zmęczenia. Nigdy jeszcze jego ciosy nie były tak silne i nigdy nie zadał ich tak wiele. Głowa Foremana przypominała teraz polataną dętkę samochodową — uparcie szedł jednak do przodu i wydawało się, że mógł być bity przez całą noc i że nic nie było w stanie powalić go na deski.

Nokaut ma pewien próg — kiedy bokser zbliży się do niego, ale go nie przekroczy, to może przez najbliższych kilka godzin słać się i zataczać między linami przypominając trochę ofiarę nieudanego małżeństwa, które trwa tylko dlatego, że nikt nie wie, jak je zakończyć.

Na początku szóstej rundy Foreman przypominał zmęczonego i zmalretowanego ułicznika. Twarz pokrywały mu guzy i napuchnięte sinaki, a skóra na całym ciele lśniła jak smoła rozgrzana gorącymi promieniami słońca. Kiedy jednak zabrzmiął gong George znów był groźny, chociaż nie przypominał już węglerki kota — miał teraz w sobie coś z poranionego, rozjuszonego byka. Zaraz po gongu pochylił głowę i zaszczerwał przez całą długość ringu. Był totalnym uosobieniem potężnej idei, której pozostał wierny nawet wtedy, kiedy zwróciła się przeciwko niemu.

Ali coraz częściej atakował klasyczną lewą prostą, której wszyscy spodziewali się w pierwszej rundzie. W ciągu następnych trzydziestu sekund na głowie Foremana wyładowało dziesięć, a może dwanaście silnych kontrszybkich jak pchnięcie dobrego szermierza i George, o dziwo, przyjął je lekce pokornie, jak gdyby godził się już z apatią paraliżującą jego nadzieje.

Gong oznajmił koniec szóstej rundy. Obydwaj skrzywili twarze w mimowolnym, pełnym ulgi uśmiechu.

Foreman wrócił do rogu krokimi człowieka, który za chwilę straci przytomność. Ali wydawał się być zamyślony i kiedy na chwilę przed gongiem wstał, żeby ruchem ramion pozdrowić stadion, sprawiał wrażenie rozstargowanego, jak gdyby nie słyszał ryku sześćdziesięciu tysięcy gardel.

Ten doping sprowokował George'a do natychmiastowego działania i zanim zabrzmiął gong Foreman stał już na środku ringu. Ali otworzył szeroko oczy i spojrzal na niego szyderczo, a potem z pogardą, jakby chciał powiedzieć: „Teraz przebrałeś miarę, Teraz wiem, że chcesz oberwać,” i również wyszedł z rogu.

Ali był bardzo zmęczony, nie szafował siłami. Jego rękawy ciągle jeszcze były sprężyste. Pod koniec rundy znów objął szyję Foremana w czułym uścisku. Patrząc na George'a miało się przed oczami komputer Hal z „Odysei 2000” zamieniający się w rozdygotaną, niesprawną maszynę w miarę jak pobawiano go poszczególnych elementów. A jednak przetrwał w nim resztki buńczuczności wpojonej przez Sadlera i Moora w czasie tysięcy godzin treningu, bo chociaż jego najstarsze uderzenia przypominały już przepierające gesty, nie przestawał zadawać ciosów; w ostatnich kilkudziesięciu sekundach siódmej rundy ledwo trzymał się na nogach, a zadał ich chyba siedemdziesiąt. Tylko kilka dosięgło celu. Ali ograniczył się do dwudziestu pięciu, z czego przynajmniej

Dalszy ciąg na str. 9

PRZY OKAZII „ŻADŁA”

Relacjonując ubiegłoroczne „Konfrontacje” użyłam dla imprezy tej okoliczności „cały repertuar w dwa tygodnie”. Chyba łatwo zagubiono jej dawny charakter studyjny i wyjątkowy wobec bieżących propozycji ogólnego rozpowszechniania. „Konfrontacje” stały się forpoczta repertuaru nadchodzącego roku, tego, co w nim najgodniejsze uważa, choć i to nie zawsze jest już zasadą. Zapowiedzi programu „Konfrontacji 73”, które obiegły już orasę (oby tylko nie się nie zmieniły), zelektryzowały już amatorów dorocznego maratonu filmowego. Głosno o tych filmach w świecie zarówno z racji artystycznych jak i komercyjnych. Ciekawość naszą więc zaspokoimy oglądając min. „Grupę rodziną we wnętrzu” Viscontiego, „Zawód — reporter” Antonioniego, „Widmo wojności” Bunuela, „Sprawę Adela” Truffaut’a, a także „Ojca chrzestnego — II” Coppola i „Szczęści” Spielberga. Sądzę, że i pozostałe filmy mogą być nie lada niespodzianką.

Jeśli stanie się tak, jak w roku ubiegłym, że program „Konfrontacji” obejmie, jedynie z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, repertuar 1976, nie lada atrakcje czekają w tym roku szerokie rzesze kinomanów, a Zjednoczenie Rozpowszechniania Filmów zrealizuje zapowiedzi dawnej Centrali Rozpowszechniania Filmów, iż widz polski nie będzie już latami czekał na, z tych czy innych względów, najgodniejsze w danych sezonach filmy.

Uwagi te wypowiadam niejako a propos filmu, który po roku od daty polskiej premiery w czasie „Konfrontacji 74” trafił teraz do szerokiego rozpowszechniania. Myślę o „Żadło” George’a Roya Hilla, który to film rozchmurzył swego czasu nieco umiarkowane oblicza szczęśliwych posiadaczy karnetów upoważniających do 14-krotnego zasiadania w tym samym krześle kina „Bałtyk” czy „Włókniarz”.

„Żadło” — to zdobywca nieomal wszystkich nagród „Oscara” 1973 — za najlepszy film roku, reżyserię, scenariusz, scenografię i kostiumy. Na marginesie dodam, że pragnęłabym jeszcze jednego „Oscara”. Komu i za co? — oczywiście dla Paula Newmana, któremu oprócz się mogło Oscarowe jury, widać tylko dlatego, że przeważyła w nim „leć brzydka. Dziwna to nagroda — ów „Oscar”. Wypada z niej nieco podziwiać i nie traktować zbyt serio, bo preferuje, zwłaszcza w odniesieniu do filmów amerykańskich, głównie tzw. znakomity warsztat. Jest w tym jednak konsekwencja, będąca odzwierciedleniem świetnych tradycji amerykańskiej kinematografii. Uzmanie dla tzw. wysokiej artystyczności dochodzi jednak przy „Oscarach” do głosu w przypadku filmów zagranicznych, wspomnijmy tu choćby nagrody dla Felliniego. Warto też przypomnieć naszą nie ukrywana dumę z faktu, iż „Potop” Jerzego Hoffmanna doznał się nominacji do „Oscara”, co było już dużym wyróżnieniem. Tak więc podziwiać sobie można, a „Oscar” pozostaje „Oscarem”, więcej w świecie filmowym ceniona nagroda otwierająca drogę karier indywidualnych i karier finansowych poszczególnych filmów.

„Żadło” Hilla jest dla nagród „Oscara” filmem typowym, nie widzi się chyba na liście wielkiej klasyki, pozostanie jednak przykładem znakomitej filmowej roboty, której celem jest cieszyć i bawić, spełniać oczekiwania tych, którzy w kinie szukają rozrywkowej rozrywki. Za lat tam ileś dla historii filmu „Żadło” będzie także najwspanialszym, „obok „Wielkiego Gatsby’ego”, przykładem fali „retro”, która opowiadała światową kinematografię u początku lat siedemdziesiątych. Powróć do lat dwudziestych i trzydziestych sytuowanie w nich akcji filmowych opowieści, rzadko kryje w sobie głębsze intencje. Ich walorem głównym jest nieco nostalgiczny klimat i urok lat obyczajowego szaleństwa, lat prohibicji i agresywnej fali gangsterizmu, wielkich karier i wielkich upadków, czasów, które jednak dla amerykańskiego społeczeństwa pozostają groźnym memento.

„Żadło” do lat tych powraca jedynie ku ucieście widzów, dając wirtuozowski popis umiejętności bawienia. Przedstawia perypetie dwóch oszustów, którzy pragnąc pomścić śmierć kolegi, organizują bookmacherską aferę wyludżając pieniądze i ośmieszając potężnego gangstera. Stara jak świat pokrępiająca nad duchu historia zwycięstwa słabego nad silnym, jednakże bez czystych moralnie aspektów owego zwycięstwa, takich, które dawniej zwykły podobnym historiom towarzyszyć.

Otrzymał „Oscary” nie dziwią. Scenariusz niesie bowiem intrygę precyzyjną, lśniącą fajerkami pomysłów szczegółowych, scenografię i kostiumolog racza nasze oczy uroda dawnych lat w sposób doskonały, a reżyser Georges Roy Hill dyryguje zespołem współpracowników i aktorów z wirtuozerią niezwykłą. Dodać by należało, iż muzykę z „Żadła” długo jeszcze słyszymy po wyjściu z kina, znana ona zresztą jest już zapewne potencjalnym widzom, gdyż jej nagrania dotarły do nas wcześniej niż sam film — „retro” całym uchem. No i aktorzy — o Paulu Newmanie już wspominałam, a Robert Redford zaczyna z powodzeniem w roli najlepszego swą rolę z „Wielkiego Gatsby’ego”. Na koniec jednak, może nie jak żadło, lecz uszczypliwa uwaga. Nierzadko nam przyszło wybrzydząć na polskie tłumaczenia tytułów filmów. Kto, u licha też, obdarował film Hilla tym dosłownym tytułem? „The Sting” to faktycznie „Żadło”. Nie trzeba jednakże znaleźć się w Ameryce, by poznać sens tego idiomu. W Polsce też „robi się kosa w konia”, lub delikatnie — robi się mu „wielki kawał”. Taki też jest właściwy sens tytułu tego filmu, warto by się więc nieco postrządzić, by jego polskie brzmienie było adekwatne wobec treści i sensu.

EWA NURCZYŃSKA



80 LAT KINA

28 grudnia 1895 roku w Grand Café na Boulevard des Italiens w Paryżu odbyła się prezentacja kinematografu braci Lumière i ta data pierwszej publicznej projekcji filmowej oficjalnie otwiera historię kinematografii, która trwa już 80 lat.

Świadkiem narodzin filmu jako wynalazku technicznego był wiek XIX, jednakże przemiana kinematografu, instrumentu reprodukcjącego rzeczywistość w dziedzinę twórczości artystycznej, dokonała się w wieku XX, nazwanym przez wybitnego historyka kultury Arnolda Hausera „wiekiem filmu”. Kino jest jedyną sztuką w historii ludzkości, która tworzyła się na przestrzeni pamięci ludzi jeszcze żyjących, jedyną, której narodziny zostały tak dokładnie zapisane.

Film, jako spektakl artystyczny, rodził się w cieniu sztuk tradycyjnych. Otoczony pogardą kulturalnej elity korzystał wszakże z aplauzu publiczności plebejskiej i w szybkim czasie, z zachłannością nuworysza, zagarniając doświadczenia sztuk starszych, które asymilował w ramach własnej, formującej się dopiero natury estetycznej, osiągnął kulturalny awans, stał się X Muzą.

Pragniemy omówić kilkanaście filmów, które stanowią w powszechnym przekonaniu punkty zwrotne artystycznej ewolucji kina. Będą to nie tylko klasyczne arcydzieła sumujące kolejne etapy twórczego rozwoju, ale również filmy, które pozabawione rysów klasycznych otwierały przed nową sztuką nieznane horyzonty problemowe i artystyczne.



Fot. W. Parys

NIETOLERANCJA

Scenariusz i reżyseria: David Wark Griffith  
Zdjęcia: Billy Bitzer i Karl Brown  
Wykonawcy:  
I. „UPADEK BABILONU” — Constance Talmadge (Dziewczyna z gór), Elmer Cliften (Rapsod), Alfred Paget (Baltazar), Scena Owen (Księżniczka), Tully Marshall (kapitan Baala).  
II. „MEKA CHRYSUSA” — Howard Gaye (Chrystus), George Walsh (mąż z Kany), Bessie Love (żona z Kany), Olga Grey (Maria Magdalena), Erich von Strheim (Faryzeusz).  
III. „NOC ŚW. BARTŁOMIEJA” — Josephine Crowell (Katarzyna de Medicis), Frank Bennet (Karol IX), Margery Wilson („Oczy czarne”), Eugene Pallette (Prosper Latour), Joseph Hennberg (admiral Golligny).  
IV. „MATKA I PRAWO” — Mae Marsh (dziewczyna), Robert Harron (chłopiec), Sam de Grasse (fabrykant), Myrian Cooper (kochanka sfera bandy), Walter Long (szef bandy).  
Lillian Gish (kobieta z dzieckiem w kolysec łącząca cztery opowiadania).  
Produkcja: „Wark Company”  
Premiera: 3.IX.1916  
Długość: 4.100 m.

Twórca „Nietolerancji”, amerykański reżyser filmowy David Wark Griffith przeszedł do historii kinematografii jako kodyfikator podstawowych środków artystycznych filmowej narracji i ekspresji. Dziś trudno ocenić twórczy wkład Griffitha w rozwój poetyki kina jako autonomicznej sztuki, ponieważ poszczególne efekty przez niego w sposób świadomy zastosowane, a możliwe tylko dzięki wykorzystaniu techniki filmowej stały się z czasem naturalnym i oczywistym sposobem wizualnej relacji, zatraciły bez reszty swój niegdyś konwencjonalny charakter. Griffith zebrał i usystematyzował dotychczasowe doświadczenia warsztatowe i estetyczne pionierów kina — stworzył fundament języka filmu. Głównym źródłem inspiracji artystycznej Griffitha była realistyczna powieść XIX-wieczna w wydaniu Dickensa. Sposób kształtowania fabuły czasoprzestrzenna swoboda literackiej narracji, umiejętność sterowania emocjami odbiorcy poprzez splecanie kilku wątków równoległych, które rozwiązują się w dramatycznym, ale szczyłowym finale — te wszystkie sekrety literackiego warsztatu Griffith podpatrzył i z genialną intuicją przełożył na techniczne możliwości kinematografu. Jako mistrz i klasyk filmowego opowiadania Griffith przede wszystkim rozwinął filmowy montaż. Zasadniczy a przeniesiony z literatury schemat narracyjny polegający na paralelnym prowadzeniu dwóch lub więcej wątków twórcy „Nietolerancji” zrealizował w kinie dzięki odkryciu montażowego przeplatania scen należących do różnych akcji przy zachowaniu ich fabularnej ciągłości.

Powstała w 1916 roku „Nietolerancja” była największym filmem Griffitha — zarówno w sensie artystycznych ambicji jak i produkcyjnego rozmachu. Film składał się z czterech opowieści-epizodów usytuowanych w różnym czasie historycznym. „Upadek Babilonu” — najdłuższy i najbardziej rozbudowany inscenizacyjnie epizod filmu przedstawiał historię pięknej niewolnicy zamieszanej w walki, rozgrywki i intrygi dwóch ugrupowań na dworze królewskim. „Meka Chrystusa” — to oparte na Biblii sceny z życia Chrystusa, które dotyczyły wesela w Kanie Galilejskiej i rozmów z faryzeuszami, akcentując skomplikowany konflikt pomiędzy podbitym narodem żydowskim a rzymską potęgą. „Noc św. Bartłomieja” opowiadała znany z historii Francji incydent walk religijnych osnuty w filmie wokół roli

Katarzyny Medycejskiej w rozpetaniu masakry oraz losów zwykłej rodziny hugonockiej zaplątanej w krwawy wir historycznej tragedii. Wreszcie opowieść współczesna „Matka i prawo”, której to społeczne zaczerpnął Griffith z głosem w tamtych latach historii strajku robotników ostrzeliwanych przez policję fabrykanta, przedstawiała pełne dramatycznych perypetii losy młodej pary robotników.

Zademonstrowane przez Griffitha w „Nietolerancji” nowatorstwo artystyczne polegało na wykorzystaniu metody montażu równoległego nie tylko dla celów narracyjnych, ale przede wszystkim światopoglądowych i filozoficznych. Wszystkie cztery historie nie były przedstawione jedna po drugiej w następstwie chronologicznym, ale zostały przemieszane w cztery równoległe, montażowo przecinające się ze sobą wątki fabularne. W ten sposób Griffith pragnął swoją metodą montażową przenieść z płaszczyzny czysto narracyjnej na wyższe piętro ideologicznej abstrakcji. Bowiem wszystkim czterem epizodom miała w intencjach reżysera przyswiecać wspólna, zasygnalizowana w tytule koncepcja historyzoficzna. Według niej w historii ludzkości wiecznym źródłem wszelkiego zła była nietolerancja. Metaforyczny sens czterech fabuł całego filmu miał podkreślać powracający na zasadzie leitmotywu obraz kobiety kolysecjącego dziecko — w koncepcji reżysera symbol wiecznego odradzania się ludzkości. W „Nietolerancji” montaż równoległy staje się wykładnią manichejskiego światopoglądu Griffitha widzącego w świecie istniejące obok siebie dobro i zło, miłość i nienawiść, cnotę i występki, szlachetność i podłość, sprawiedliwość i ucisk. Zjawiska te istnieją obok siebie niezależnie, nie motywują się, lecz jedynie kontrastują ze sobą. Ten sposób widzenia i wartościowania rzeczywistości Griffith także przejął od drobnomieszczańskiego, sentymentalnego humanizmu Dickensa. Metafizyczne pojęcie nietolerancji, które reżyser pragnął zilustrować przy pomocy czterech opowieści nie dotarło do odbiorcy, bowiem wbrew zamiarom artysty kunstzownie splecione w równoległym montażu fabularne treści nie zdołały osiągnąć pułapu abstrakcyjnego uogólnienia. „Nietolerancja” okazała się artystyczną klęską Griffitha, jednakże klęską wspaniałą i genialną.

WŁADYSŁAW JEWSIEWICKI

JAKA JEST ŁÓDŹ FILMOWA?

„Wszystko zależy od ludzi, od ich zaangażowania i osobistej pasji” — powiedział w lipcu ubiegłego roku Włodzimierz Pośpiech, dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi w rozmowie z Konradem Frejlichem („Odgłosy”, 31.7.1974).

Istotnie, w Łódzkiej „Panoramie XXX-lecia” zaprezentowanej w Warszawie — nasze środowisko filmowe w swoim potencjale twórczym, przedstawiało się zbyt skromnie jako zagłębie filmowe. Brakowało wielkiej realizacji fabularnej, która mogłaby uwierzytelnić opinię o „Łodzi filmowej”. Mnie się wydaje, że jest jeszcze więcej niedostatków, które należało by stopniowo usuwać i jeszcze wiele luk do wypełnienia już dzisiaj mając twórczą treść. Potrzeba stworzenia na łódzkim gruncie kulturalnym śro-

dowiska filmowego, o czym mówił w cyt. wywiadzie dyr. Pośpiech, jest jak najbardziej słuszna i jak najbardziej na czasie. Chyba już dokonały się ku temu niezbędne warunki.

Otóż, z chwilą powstania podstawowego elementu w technologicznym procesie kształtowania się przemysłu i kultury filmowej, tj. z chwilą powołania łódzkiego zespołu twórczego „Profil” — krag zagadnień i problemów filmowych miasta na tyle się pogłębił, że zachodzi konieczność organizacyjnego ożywienia dotychczas niepełnego łódzkiego środowiska twórczego przez nadanie mu charakteru zwartej grupy o określonych celach i zadaniach.

Łódź już od lat trzydziestu posiada rozwinięty przemysł filmowy, który reprezentują trzy wytwórnie, z nich



Mówiło się i mówi nadal o możliwościach krótkiego metrażu ze smutkiem spoglądając, jak powoli nika z seansów filmowych krótkometrażowe dodatki. Wzdychamy do chwalebnych czasów kiedy w Łodzi podawano w zapowiedziach prasowych obok tytułu filmu fabularnego także informację o krótkometrażówce. To niestety przeszłość, choć przecież nie nie stanowi o tym, że ma być jedynie przeszłością. Wiemy, że na całym świecie wydłużają się filmy fabularne a nie zwiększa się ilość czasu przeznaczona na poszczególne seanse. Zakładając, że pozostaje kronika, która przecież była swego czasu wspaniałym filmem krótkometrażowym, do eliminacji przeznaczono dodatek. Na szczęście nie jest jeszcze aż tak tragicznie i film krótki utrzymuje się na ekranach, czasami (jak to ma miejsce w Warszawie) posiada nawet własne kina. Szkoda, że „filmowa Łódź” nie może się na to zdobyć.

Choć możliwości krótkiego metrażu — to nie tylko kino. Są nawet

kumentarno-edukacyjnym, który z Łodzią zrosił się od lat, stąd zaopatrując kina, szkoły i inne instytucje wykorzystujące tego rodzaju dokonania artystyczne. Tradycje są bogate. Tu w Łodzi przecież rodził się polski film biologiczny i przyrodniczy. Sukcesy na festiwalach krajowych i zagranicznych za unikalne filmy opowieści o tajemnicach przyrody to zasługa zapachu, wytrwałości i poszukiwań nie tylko w zakresie środków artystycznych ale i technicznych rozwiązań, specjalnych metod rejestracji zjawisk, opracowanych przez takich twórców, jak Józef Arkusz, Karol Marczak, Bolesław Bączynski, Aleksandra Jaskólska, Witold Powada czy w filmie przyrodniczym Włodzimierz Puchalski. Do dnia dzisiejszego oddział technik specjalnych w łódzkiej WFO jest unikalną placówką w skali kraju. W Łodzi konsekwentnie tworzone filmy o sztuce. Zmagania Aleksandra Nieśmiałka i takich reżyserów jak Bogdan Mościcki, Kazimierz Mucha, Stanisław Grabowski, Tadeusz Stefa-

Próby i zasady

Nieprawdą byłoby stwierdzenie, że rozpowszechnianie krótkiego metrażu w Łodzi zupełnie „leży”. W różnych instytucjach dopracowano się pewnych trwałych zasad, cykli programowych czy stałych miejsc projekcji. Do najbardziej aktywnych należy tu chyba Dział Kultury Filmowej Łódzkiego Domu Kultury. To tu, wspólnie z Wytwórnią Filmów Oświatowych organizowano otwarte pokazy wszystkich pięciu odcinków „Biblii”, kiedy społeczne zainteresowanie przerodziło się w oczekiwania organizatorów. To tu, po festiwalu krakowskim i przed spotkaniem z filmem o sztuce w Zakopanem, organizowano publiczne pokazy filmów WFO i „Semafora”. To tu, co pewien czas popularyzuje się najnowszym dorobek obu wytwórni. Jest to zjawisko bardzo cenne, tym bardziej że organizatorem jest centralna łódzka placówka upowszechniania kultury.

Ma swoje stałe pokazy Wytwórnia Filmów Oświatowych w sali kinowej Biblioteki im. L. Waryńskiego, gdzie w każdy ostatni czwartek miesiąca pokazuje swoje nowości. „Semafor” dzięki aktywności swego naczelnego dyrektora, ma kino filmów dziecięcych. Stowarzyszenie Filmowców organizuje projekcje w sali WFF. „Szkoła Filmowa” dorobiła się swego stałego kina, które obejmuje także nowości obu wytwórni krótkiego metrażu w Łodzi. Czy jednak zabieg kierownika Działu Kultury Filmowej — Zygmunta Machwiłty, aktywności i organizacja pokazów przez wytwórnię a nawet wsparcie SFP, są to rozwiązania optymalne?

Cisnie się pytanie, dlaczego głównym inicjatorem owych działań nie jest powołana ku temu instytucja a mianowicie Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów.

Kadra

W czasie ostatniego Przeglądu Filmów Społeczno-Politycznych stwierdzono w ramach dyskusji, że jednym z warunków do zwiększenia szerokości oddziaływania filmu krótkiego jest posiadanie kadry popularyzatorów, ludzi, którzy potrafili by właściwy sposób wykorzystać istniejące zasoby filmu krótkiego. Kadry tej należy poszukiwać w bardzo różnych środowiskach. Jest ona potrzebna wśród nauczycieli, gdzie niejednokrotnie tylko zapal i autentyczne przekonania o potrzebie wprowadzania filmu, pozwala na przełamania przeszkód natury technicznej i organizacyjnej. Zwiększając się wykorzystanie filmu krótkiego o oświadczenie politycznej niesie i tam konieczność pozyskania najlepszej kadry wprowadzającej w ramach dyskusji ich filmowej zawartości.

Owa kadra popularyzatorów to również ci, którzy poza własnym środowiskiem informują szerokie rzesze społeczeństwa o najciekawszych dokonaniach filmu krótkiego. Przecież na jego temat właśnie mieszkańcy Łodzi wiedzli stosunkowo mało czy wręcz nie otarli się o to zagadnienie nigdzie poza dodatkami do filmu fabularnego. A przecież świadomość dokonania artystycznych występujących na terenie miasta, to także element pojęcia „Łódź filmowa”.

Mówiąc o popularyzatorach nie można pominąć faktu szerokiego

i bardzo konsekwentnego włączenia filmu krótkometrażowego w pewne formy programu telewizyjnego. Jako wzorcowy przykład niech służy stałe cykle Polskiego Filmu Dokumentalnego, Polskiego Filmu Animowanego czy prowadzony przez Aleksandra Nieśmiałka cykl „Sztuka i film”. To oczywiście wiele, ale jednocześnie bardzo mało. Ciągłe przecież odczuwamy brak stałego miejsca, gdzie skupiałoby się życie filmowej Łodzi, gdzie dyskusje nad każdym nowo powstałym dziełem przyczyniać się będą do rozwoju sztuki filmowej. Gdzie twórcy i działacze filmowi będą mogli wymienić poglądy o tym, co aktualnie powstało w łódzkich wytwórniach. Przecież ten twórczy fragment stanowić będzie o rozwoju koncepcji twórczych, rozwinięciu grono miłośników sztuki filmowej, zwróci uwagę na dokonania artystyczne, które trochę giną w ospałości i braku koordynacji.

A przecież właśnie w Łodzi istnieje realna szansa aby integracja środowiska twórczego była większa niż gdziekolwiek. To tu są szanse, aby zadziałał jedyny w swoim rodzaju system wymiany kadry między fabułą i filmem krótkim. Panuje do tej pory dosyć powszechne przekonanie, że fakt zrobienia filmu fabularnego wznosi na piedestał, z którego zejście do form krótkich jest pohańbieniem. Powstanie zespołu „Profil” i stała współpraca między zespołem a wytwórniami dają te właśnie szanse, aby w myśl dobrze pojętych szans stałego rozwoju umiejętności twórczych ci, którzy mieli to szczęście zrealizować film fabularny, gdy oczekują na następny, sięgnęli do możliwości filmowej wypowiedzi w krótkim metrażu.

Czyli w sumie potrzeba nam Centrum Kultury Filmowej ale centrum autentycznego, pełnego dyskusji, polemik, premii, koncepcji, a przede wszystkim pełne autentycznych miłośników filmu, działaczy, twórców i producentów. Chciał nie jest to sprawa nowa — wiele już na ten temat napisano i powiedziano...

Dokument zapomniany

Warto przypomnieć niektóre fakty, jak wyróżnienie dla WFO nadane przez jury dziennikarskie festiwalu w Krakowie czy nagroda za najlepszy zestaw na przeglądzie filmów społeczno-politycznych w Łodzi. To są fakty ale one nie decydują jeszcze o atmosferze wokół filmu. Brak im wsparcia prasy codziennej, która bardzo „po macoszemu” traktuje krótki metraż, brak im społecznego społowania.

W Łodzi funkcjonuje Festiwal Filmów Dydaktycznych, mający szansę przekształcenia się w imprezę między-narodową, stania się autentycznym forum, na którym nauczyciele — praktycy raz na dwa lata mieliby okazję zobaczyć, co dla nich zrobiono i wypowiedzieć na ten temat swoje sądy. Tu przecież rozwija się systematycznie Przegląd Filmów Społeczno-Politycznych, który w ostatnim wydaniu miał już godną oprawę. Ale czy to już wszystko?

Wielokrotnie powstawały koncepcje stworzenia w Łodzi muzeum filmowego. Koncepcje są znakomite, ale jeżeli nie zostaną one we właściwy sposób ukierunkowane i wsparte możliwościami realizacyjnymi, pozostaną koncepcjami, a przecież byłoby szkoda, aby — tak jak Festiwal Filmów Krótkometrażowych zabrał Kraków — jakiś inny ośrodek upomniał się o tytuł stolicy filmu polskiego.

MACIEJ ŁUKOWSKI

GDZIE POWSTANIE

STOLICA

KRÓTKIEGO METRAŻU?

tacy, którzy twierdzą, że racja filmu krótkometrażowego, to przede wszystkim szkolna edukacja. Oczywiście można się z tym zgodzić, ale nie wolno nie zauważać, że udział filmu krótkometrażowego w seansie filmowym, to także edukacja społeczeństwa.

Ilość wypożyczeń z filмотeki aktualnego Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów stale wzrasta, szkoła potrzebuje coraz to nowych filmów, edukacja w zakładach pracy wymaga pomocy filmu, itd. itd. Czyli jednak film krótkometrażowy jest potrzebny. I to zarówno film oświatowy jak i dokumentalny. Chociaż tak prawdę mówiąc trudno dziś wyznaczyć jakiegokolwiek granice gatunkowe w krótkim metrażu.

Tradycje

W tych przyczynkarskich uwagach pragnę skupić się na filmie oświatowym, popularno-naukowym czy do-

nek, Leszek Skrzydło, Piotr Andrejew czy Andrzej Papużński doprowadzili do uzyskania należnego tym filmom miejsca wśród konkurencji zakupiańskiego festiwalu filmów o sztuce.

Tu również narodziły się pierwsze filmy światopoglądowe ze słynną już „Biblią”, za którą autor — Leszek Skrzydło trochę na przekór dziennikarskiej wyłączonej otrzymał nagrodę „Trybuny Ludu” a ostatnio list z gratulacjami od tow. Edwarda Gierka.

Są to tradycje, które rozwijane i kontynuowane przekształcają się w nowe kierunki, zainteresowania, penetracje. Brak jednak w owej filmowej twórczości jakiegoś społecznego pointowania. Brak stałej krytyki („Odgłosy” są pozytywnym przykładem takiej próby), brak szczególnego rozpowszechnienia, które przecież łączy się z owym szerszym zagadnieniem ŁÓDZI FILMOWEJ.

jedna największa w kraju; fabrykę kopii, dubbing. Łódź posiada wyższą uczelnię, kształcąca młode kadry twórcze dla kinematografii, o której zasługach dla polskiej twórczości filmowej nikt nie wątpi. Uczelnie, która posiada ustaloną już od lat renomę w filmowym świecie.

Od roku Łódź posiada filmowy zespół twórczy „Profil”, który dąży do tematycznego powiązania polskiej twórczości filmowej z łódzkim regionem (o jego zadaniach i programie mówił reż. Bohdan Poreba, patrz wywiad w tygodniku „FILM”, nr 29 z 1975 r. pt. „Profil” ma pół roku). Dużą aktywność w popularyzowaniu i krzewieniu kultury filmowej przejawia dział filmowy Łódzkiego Domu Kultury, Biblioteka im. L. Waryńskiego i szereg innych placówek kulturalnych.

Obserwujemy także duże wyczulenie na sprawy filmowe łódzkiego środowiska uniwersyteckiego, czego przejawem jest udział profesury i młodszych pracowników naukowych w rozmaitych spotkaniach i imprezach filmowych. Uniwersytet Łódzki przecież nie na darmo szczył się wieloma osiągnięciami, badawczymi w zakresie wiedzy o filmie, studiami prowadzonymi od lat przez prof. dra B. W. Lewickiego wraz z zespołem dydaktyczno-badawczym.

A więc preżność środowiska łódzkiego w dziedzinie spraw filmowych, której może dziś jeszcze nie dostrzegamy, jego uzewnętrznienie jest już tylko kwestią czasu, brak mu chyba tylko bodźca o charakterze organizacyjnym. Nie zatem nie stoi już dziś na przeszkodzie w rozwoju łódzkiego środowiska filmowego, ugruntowaniu kultury filmowej i jej emancjacji na

inne regiony kraju. Prężność łódzkiego środowiska filmowego, zdolnego do szlachetnej i skutecznej rywalizacji z podobnymi środowiskami stolicy i innych miast w kraju jest, moim zdaniem, tylko kwestią czasu.

Łódź filmowa jest, nawet jak najbardziej, predestynowana do przodownictwa w tej mierze, bowiem posiadanie przez miasto przemysłu kinematograficznego, własnego zespołu twórczego dla produkcji filmowej, wyższej uczelni filmowej z kadrami nauczającą na cele oraz aktywność filmowego ośrodków badawczych — daje obrzytym atuty w tym współzawodnictwie. Aktualnie staje się w tej sytuacji i warunkach zorganizowanie w Łodzi centralnego klubu filmowego, miejsca spotkań i dyskusji, prezentacji i konfrontacji poglądów na dzieła i dokonania, na osąd propozycji twórczych i zamierzeń autorskich. Widzę tu dalszą formę działania w zaktywizowaniu ludzi zajmujących się filmem na co dzień, projektujących zamierzenia i konkretne przedsięwzięcia organizacyjne w dziedzinie rozpowszechniania dóbr filmowych i krzewienia kultury; ludzi zajmujących się twórczością filmową, dydaktyką i badaniami naukowymi w zakresie filmologii.

Ich legitymacją producenta filmowego i twórcy dzieła, popularyzatora wiedzy o filmie, krzewiciela najlepszych wzorów kultury filmowej niech będzie osobista pasja człowieka, który rozumie czym jest film jako rozrywka, czym jest sztuka filmowa i czym powinno być twórcze ideowe

postanowienie autora dzieła filmowego. Ułatwi to twórcy dojście do tego stanu zrozumienia i rozeznania w złożoności, czym jest dla społeczeństwa utwór filmowy w całokształcie przejawiających się różale działani i wpływow natury psychologicznej i socjologicznej — czynne uczestnictwo w zaktywizowanym środowisku filmowym, gdzie jego obecność, obok innych towarzyszących pracy i działalności, będzie zauważalna i brana pod uwagę.

Tak pomyślany twórczy ośrodek wymiany myśli i poglądów na temat filmu środowiska łódzkiego, usytuowany lokalowo w centrum miasta — stanie się, moim zdaniem, ważnym ogniwem w rozwoju łódzkiej kinematografii, kuźnią najlepszych i najcelniejszych kulturowo form działania.

WŁADYSŁAW JEWSIEWICKI



Fot. W. Parys

MUHAMMAD ALI KONTRA GEORG FOREMAN

Dalszy ciąg ze str. 7

połowa wylądowała na głowie i tułowiu Foremana. George walczył teraz tak wolno, jak znudzony do ostatnich granic bokser w złotych rękawicach, wolno, jak człowiek gramolący się na górę poduszek, wolno, jak gdyby pierwsza runda tego spotkania odważana była w zwolnionym tempie — George Foreman nie był już w stanie walczyć szybko. Ali czule przyciskał mu głowę do lewej rękawicy, a potem uderzał prawą. Zdawało się, że w każdej chwili Foreman może się przewrócić ze zmęczenia.

W rogu zrzęca ręce Moore'a mawowały omdlałe z wysiłku ramiona George'a Sandy Sadler rozluźniał zmęczone mięśnie jego nóg. Dick Sadler mówił coś gorączkowo.

Gong rozpoczął ósmą rundę.

Cofając się Ali, z zimną krwią i bez pośpiechu, skontrował Foremana uważnie lokując ciosy — sześć silnych uderzeń lewą i prawą. Każde uderzenie musiało spełnić pewną rolę. Nogi Foremana rozchybowały się w niepewnym, chwylającym tańcu, jak nogi wierzchowca stającego po nierównej, kamienistej drodze. Czując chyba po raz setny przeszywający ból bezlitosnych uderzeń rzucił w odpowiedzi wściekły lewy sierp, który okazał się tak niecelny, że omal nie wyrzucił go z ringu. Przez chwilę jego plecy i kark wystawione były na atak Aliego, który zamierzył się, ale nie zadał ciosu, jak gdyby chciał pokazać całemu światu, że nie spłamił tej walki nieprawidłowym uderzeniem podobnym do tych, które Foreman posłał w tył głowy Nortona, Romana i Fraziera — Ali zamarkował cios i odsunął się do tyłu. Już po raz drugi miał Foremana na linach i po raz drugi zrezygnował z ataku.

George oderwał się od sznurów i ruszył w pogoń jak zdąsany długim biegiem człowiek ścigający kota. Ten niecelny sierp dodał mu otuchy ożywając nadzieję, że odzyskał część dawnej siły.

Przez cały ten czas Ali drażnił go i prowokował krótkimi, urwanymi zdaniem. „Bij się”, mówił. „Myślałem, że umiesz się bić. Jesteś słaby. Skończyłeś się.” Po kilkudziesięciu sekundach uderzenia Foremana znów zaczęły przypominać klepnięcia i po raz osiemnasty z rogu Aliego ktoś wrzasnął rozpaczliwie: „Zejdź ze sznurów! Skończ z nim! Uspój go!”

Ali zaatakował na dwadzieścia sekund przed końcem rundy. Używając własnej miary i wiedzy, którą zdobył przez dwadzieścia lat boksowania, z pełną świadomością tego, co było możliwe i niemożliwe do osiągnięcia w jakimkolwiek momencie walki, wybrał też właśnie chwilę jako jedyną okazję i ciągle jeszcze leżąc na linach uderzał Foremana lewą i prawą, a potem oderwał się od sznurów znów torując sobie drogę lewą i prawą prosto. Wypuszczając ostatnią prawą ponownie użył rękawicy i przedramienia — ten podwójny oszalamiający cios zachwiał Foremanem i rzucił go do przodu.

Prześlizgując się obok Ali uderzył go prawym hakiem w krawędź szczęki i odskoczył od sznurów w momencie, kiedy George na nie wpadał. Po raz pierwszy w tej walce odciął Foremana od ringu. Potem wypuścił serię uderzeń tak szybkich jak w pierwszej rundzie, ale tym razem ciosy były silniejsze i spadły na George'a całą la-

Dalszy ciąg na str. 10

# MUHAMMAD ALI KONTRA GEORG FOREMAN

Dalszy ciąg ze str. 9

wina — najpierw trzy prawe proste, potem lewa i przez chwilę widać było, że Foremana ogarnął niepokój, wiedział, że jest w niebezpieczeństwie i że musi natychmiast wycofać się ze strefy zagrożenia. Przeciwnik nacierał nie opierając się już o liny.

Cóż za zmiana! Osiem egzystencji George'a przesunęły się o sto osiemdziesiąt stopni — teraz on leżał na sznurach! Wtedy właśnie pocisk wielkości pięści odzianej w rękawicę wybuchnął na środku jego czaszki — najcięższe uderzenie tej wstrząsającej nocy — cios, którym Ali ocalał swoją karierę, Foreman konwulsyjnie rozrzucił ramiona na boki jak spadochroniarz wyskakujący z samolotu i zgięty w pół próbował wydosłać się na srodek ringu. Przez cały czas patrzył na Aliego i w jego spojrzeniu nie było gniewu, tak jakby spoglądał na najbliższego przyjaciela — człowieka, którego chciałby zobaczyć w godzinie śmierci. Zawrót głowy zachwiał Georgem Foremanem. Pochylił się do przodu i zasłabł w tej dziwniejszej pozycji z oczami utkwionymi w Muhammada Ali zaczął chylić, przewracać i upadać, chociaż czynił to wbrew swojej woli. Głowę utrzymywał mu w górze magnes Mistrzostwa, ale ciało opadało bezwładnie w dół. Upadł jak blisko dwumetrowy, sześćdziesięcioletni portier, który otrzymał tragiczną wiadomość, tak, przewracając się przez dwie długie sekundy — Mistrz siedł na deski i Ali obracał się razem z nim z pięścią gotową do uderzenia, które już nie było potrzebne — najbardziej intymna eskorta tego upadku. Arbiter odstąpił Aliego do rogu.

Foreman przewrócił się na brzuch jak pijak usiłujący zwlec się z łóżka, żeby zdążyć do pracy. Foreman rozpoczął powolną pełną męki wędrówkę dźwigając wielkie, teraz bezwładne ciało, którym obdarzył go Bóg i bez względu na to czy słyszał głos sędziego, czy nie, stanął na nogach ulamek sekundy po słowie „dziesięć”, ale czuł się pobity, bo kiedy Zack Clayton opierając dłoń na jego plecach odprowadzał go do rogu, siedł posusznie i nie stawiał żadnego oporu. Tam zaopiekowali się nim Sadler i Moore. Później dowiedziano się jaki przebieg miała rozmowa.

- Dobrze się czujesz?
- Tak — odrzekł Foreman.
- No, nie martw się. To już historia.
- Dobra.
- Nic ci się nie stało — powiedział Sadler. — Reszta ułoży się sama.

W ringu trwał zamieszanie — Aliego ścisłał Rachman, Gene Wilder, Bundini i mnóstwo innych nowych i starych czarnych przyjaciół, którzy całą gromadą przycisnęli się przez przejścia, wskoczyli na platformę, przedostali się przez sznurki i podbiegli bliżej, żeby choć dotknąć ciała zwycięzcy.

Stojący w ringu Ali zemlał. Stało się to tak nagle, tak niespodziewanie, że prawie nikt niczego nie zauważył. Angelo Dundee chodząc wzdłuż sznurów i wykrzykując do reporterów pełne szczęścia słowa, nie wiedział jak tragedia rozgrywa się za jego plecami, podobnie jak wszyscy rozwrzeszczeni, roześmiani ludzie na stadionie. Tylko osiem lub dziesięciu mężczyzn stojących najbliżej Aliego zobaczyło co się dzieje. Tych osiem czy dziesięć otwartych w radosnym okrzyku ust wykrzywił teraz grymas przerażenia. Roześmiani Bundini i ciągu pięciu minut rozplakał się jak dziecko.

Ali zasłabł i nikt się już nigdy nie dowie dlaczego.

Oprac. J. TWORKIEWICZ

## CENTRUM TAJNEGO FRONTU

(XVII)



### Kurier dyplomatyczny

Dalszy ciąg ze str. 6

nawiazania współpracy. Wierzy bowiem w ich ostateczne zwycięstwo w tej wojnie i chciałby się również do niego przyczynić. Dodał przy tym, że nie kieruje się w swym działaniu względami egoistycznymi, lecz chciałby kontynuować współpracę także po zakończeniu wojny.

Mayer przez cały czas monologu Browna uważało mu się przyglądał. Człowiek interesu w opalach — pomyślał zdumiony. Pełno teraz takich. Pewnie jest na „czarnej liście” i ma nadzieję, że alianci odobkują jego kapitały. Mayer zaczął się właśnie zastanawiać, w jaki sposób najszybciej pozbyć się intruza, gdy nagle doktor wyjął z kieszeni marynarki podłużną kopertę. Jej zawartość stanowiło kilka kartek maszynopisu. Brown wyjął je, rozwinął i położył na biurku Mayera. Jeden z nich okazał wystarczająco, aby zorientować się, że zawiera teksty napisane w języku niemieckim. Uważając Amerykanina przytulając widniejące na nich nadruki — „Ścisłe tajne”. Dokumenty owe były adresowane do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Berlinie i nosiły podpisy von Papena, Abetz i von Neuratha. Brown wyjaśnił, że są to kopie depezy, jakie hitlerowscy ambasadorzy w Antwerpe, Paryżu i Pradze wysłali do swojego szefa, ministra spraw zagranicznych Rzeszy, Joachima von Ribbentropa.

Mayer szybko przebiegł oczami treść korespondencji. W depezy z Paryża Abetz przekazywał sugestie rządu Włoch odnośnie prowadzenia niemieckiej infiltracji na terytorium Afryki Północnej, zajętej przez alianców. Neurath donosił o sytuacji w Czechosłowacji po

zabójstwie Heydricha i efektach akcji represyjnej, przeprowadzonej w następstwie zamachu. Z kolei von Papen ostrzegł Berlin, że agenci angielscy próbują przeniknąć poprzez Istanbül na Balkany.

Amerykanin, pomimo młodego wieku, był doświadczonym pracownikiem wywiadu. Tych kilka chwil zupełnie mu wystarczyło, aby zorientować się, co trzyma w ręku. Jeśli te informacje są autentyczne, to są na wagę złota. Tłumiając wrażenie, jakie na nim wywarły, Mayer spokojnie zapytał Browna, od kogo otrzymał te dokumenty. Doktor popatrzył uważnie na Amerykanina: „Mam ich jeszcze więcej, są do pańskiej dyspozycji. Dał mi je przyjaciel, który pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Rzeszy. Ten człowiek przyjechał wczoraj do Berna jako „specjalny kurier dyplomatyczny”. Jego szczerym życzeniem jest wejść w kontakt z aliancami. Znam go od lat i mogę pana zapewnić, iż jest on zagorzałym antynazistą. Za wszelką cenę chciałby działać przeciwko Hitlerowi. Wyraził więc gorącą prośbę spotkania się z panem osobiście i polecił mi przekazać owe dokumenty, by w ten sposób dowieść swojej dobrej woli”.

Mayer postanowił natychmiast skontaktować się ze swym zwierzchnikiem. Poprosił więc doktora, aby zaczął w salonie recepcyjnym, a sam pospieszył do gabinetu Dullesa. Krótko zrelacjonował mu treść rozmowy i pokazał depezy. Nie mieściło mu się w głowie, iż może to być szum, który umożliwiłby dostęp do wielu tak starannie strzeżonych tajemnic Rzeszy. Był raczej skłonny przypuszczać, że to po prostu podstęp.

Dulles przeczytał pobieżnie trzy-niesionych dokumentów i zamyslił się. „Istnieją trzy ewentualności — powiedział po chwili. — Może to być chytry zastawiona pułapka w celu rozszyfrowania naszego kodu. Niemcy wyobrażają sobie, że polkniemy przynęty, zakodujemy treść dokumentów i prześlemy depezy do Waszyngtonu. Mają tu wszystko na oku, zwłaszcza szwajcarskie kanały handlowe. Podstępach więc zakodowany tekst tych depezy, a znając ich treść z łatwością je rozszyfrują. Istnieje również możliwość, iż ten pański przyjaciel, to po prostu prowokator. Najpierw wręczy nam te papery, a później zawiadomi policję szwajcarską, że jesteśmy szpiegami. Jego spotkanie z nami będzie tego dowodem, po czym zostaniemy zmuszeni do oświadczenia tego kraju. I wreszcie jest także cień szansy, że ten człowiek rzeczywiście chce z nami szczerze współpracować”.

Mayer był zdania, że mimo wszystko, powinni spróbować. Doktor zrobił na nim korzystne wrażenie. Pomimo swego nieco oficjalnego sposobu bycia, wydawał się być szczerzy. Po namyśle, Dulles przychylił się do jego propozycji i zaakceptował plan jego — odepisał zatem spotkanie ze „specjalnym kurierem”, do czego podjął ostateczną decyzję.

Asystent Dullesa powrócił szybko do czekającego nań w salonie recepcyjnym doktora Browna i poinformował go, że zgadza się na spotkanie z jego niemieckim przyjacielem. Miało się ono odbyć jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem. „Oczekuje pana u siebie o północy” — powiedział Mayer, podając

doktorowi dokładny adres. Mieszkał w dzielnicy Kirchenfeld, w samym centrum kolonii dyplomatycznej. Dla ułatwienia, narysował na kartce drogę do swego domu i mieszkania, aby Brown i jego przyjaciel nie zabłądzili lub nie musieli o niego kogokolwiek pytać.

Po wyjściu doktora, Gerald Mayer powrócił do przerwanej pracy, ale zdała mu ona niesporo. Wciąż spoglądał na zegarek. Godziny jednak wlokły się nieznacznie. Wreszcie nadszedł wieczór. Powoli zapadał zmrok. Mayer znalazłszy się wreszcie w domu, szybko przygotował sobie kolację. Uchylił też nieco drzwi wejściowe, aby goście nie musieli dzwonić, po czym przyrządziwszy sobie koktajl, usiadł w fotelu i dla zabicia czasu przeglądał ilustrowane czasopisma. Punktualnie o północy drzwi do jego mieszkania otworzyły się cicho i ukazał się w nich doktor Brown w towarzystwie krepkiego, tysego mężczyzny w skórzanym kurcie. Mayer i cudzoziemiec przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. Niemiec trzymał prawą rękę w kieszeni marynarki. Może chowa tam broń? — przebiegło nagle przez myśl Amerykaninowi. W razie czego podnieśli alarm, w mieszkaniu obok mieszka zastępca atatche wojskowego USA w Szwajcarii. Przybyli nie wyjął jednak pistoletu, lecz dużą, brunatną kopertę ze swastyką. „Oto inne dokumenty, o których wspominał panu mój przyjaciel” — powiedział nagle z wyraźnym berlińskim akcentem. „Znajdzie pan tu, o ile sobie dobrze przypominam, 186 różnych informacji”. Następnie położył kopertę na niskim stoliku obok sofy. Mayer szybko przejrzał jej zawartość. Były tam m. in. raporty dotyczące morale wojsk niemieckich na froncie wschodnim, strat poniesionych w wyniku działalności francuskiego ruchu oporu, rezultatów wizyt ambasadora Japonii i innych osobistości u Ribbentropa itd. Wiele z nich, to rozszyfrowane depezy, adresowane do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Okolo wpół do pierwszej, gdy Mayer był jeszcze pochłonięty przeglądaniem dokumentów, wszedł Dulles. Przedstawił się obu Niemcom jako Mr Douglas, współpracownik Mayera. Gospodarz podał koktajle, mimo to atmosfera była wciąż napięta, z obu stron odczuwano się wzajemną nieufność, rozmowa wyraźnie nie kładła się. Wreszcie Niemcy postanowili przełamać barierę, jaka dzieliła uczestników spotkania. Pierwszy zaczął mówić przyjaciel doktora Browna. „Na pewno chcieliby panowie wiedzieć, czy depezy są autentyczne i jak wszedłem w ich posiadanie. Otóż pochodzą one z Ministerstwa Spraw Zagranicznych”. Następnie wyjaśnił, że pracuje tam jako asystent doktora Karla Rittera. Ten wysoki funkcjonariusz utrzymuje łączność ze sztabami specjalnymi wszystkich rodzajów niemieckich sił zbrojnych. Przez jego ręce przechodzą również wszystkie depezy i dokumenty, wysyłane przez niemieckie przedstawicielstwa dyplomatyczne za granicę, jest informowany o planach działań lądowych, powietrznych i morskich (zwłaszcza okrętów podwodnych) oraz o dyslokacji wojsk. Otrzymuje także raporty dowódców wojskowych z terenów okupowanych. „Moja praca — kontynuował przybyły — polega na sortowaniu tych dokumentów pod względem ich ważności i znaczenia, za-

nim jeszcze trafią do Rittera i nim nie zdecydują on, jakie kroki należy podjąć”.

Mayer i Dulles wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Obaj dobrze znali osobę Rittera. Był ambasador niemiecki w Rio de Janeiro należał do najbardziej aktywnych, a zarazem najbardziej niebezpiecznych funkcjonariuszy hitlerowskiej służby wywiadowczej w Ameryce Południowej. Zimny, podstępny i bez skrupułów, a poza tym doświadczony specjalista w dziedzinie szpiegostwa — niezwykle trudny przeciwnik. Z dalszych słów kurlera dyplomatycznego wynikało, iż pracuje w biurze Rittera trzy lata. Kilkakrotnie próbował wyjechać z Niemiec w misji dyplomatycznej, z zamiarem nawiązania kontaktu z Amerykanami. Było to jeszcze przed Pearl Harbour, lecz zakończyło się niepowodzeniem. Każdorazowo spotykał się z odmową. W grę mogło więc wchodzić państwo neutralne. Wybór Szwajcarii nie był przypadkiem, znał ten kraj, miał tam przyjaciół, zwłaszcza jednego — doktora Browna. Poza tym podróż tam trwa stosunkowo krótko. Można wyjechać tak, jak robi to wielu funkcjonariuszy hitlerowskiego aparatu — na narty. Niestety, był bezpartyjny. Pozostała mu więc jedyna szansa. Kończąc wyjazd do Szwajcarii umotywuje wszczęciem postępowania rozwodowego ze swoją drugą żoną, obywatelką szwajcarską. Tym razem udało mu się przekonać odpowiedzialną władzę. Uzyskał zezwolenie na wyjazd w charakterze kurlera dyplomatycznego. Pobyć powinien trwać krótko, najwyżej dwa, trzy dni. George Wood (takim nazwiskiem się posługiwał) zabrał więc z sobą najbardziej interesujące dokumenty i wyjechał do Berna, gdzie polecono mu zatrzymać się w hotelu „Terminus” na Bahnhofplatz. Oczywiście wiedział, że będzie obserwowany, tego wieczora udało mu się jednak zmilczeć czujność agentów niemieckich.

Dullesem miały wątpliwości. Pokusa jest duża, ale ryzyko również. To jednak może być odpowiedni człowiek, który umożliwi uchwycenie kontaktu z opozycją antyhitlerowską w Niemczech, ale czy nie jest prowokatorem. On sam rozproszył tę wątpliwość, mówiąc, że wprawdzie nie ma możliwości ich przekonać, lecz gdyby był agentem niemieckim, czy przyniosłby tyle dokumentów. „Dwa lub trzy kalkiwickie by wystarczyły”. Chyba jednak warto spróbować. Ryzyko istnieje, ale kto nie ryzykuje, nie też nie zwycięża. A poza tym może to być jedyna szansa przeniknięcia do niemieckiego podziemia. W każdym razie nie można było jej zmarnować. Zresztą kurier wyjechał już najbliższym porankiem do Berlina.

Dochodziła trzecia nad ranem, gdy George Wood oraz doktor Brown, uzgodniwszy wstępne warunki współpracy, pojechali Amerykanów. Przed tym jeszcze ustalili orientacyjny termin następnego kontaktu. Za kilka tygodni w Szwecji, dokąd Wood przyjeżdża również w charakterze kurlera, zaś przez ten czas Amerykanie sprawdzają autentyczność otrzymanych dokumentów. Tak oto rozpoczęła się gra.

ANDRZEJ BLAJER

## HIPOTEZY

(IV)

### BOHDAN FELT LATAJĄCE TALERZE: FIKCJA CZY RZECZYWISTOŚĆ?

Pod względem ilości obserwacji tajemniczych obiektów latających przelotnym był rok 1952. W samych Stanach Zjednoczonych zanotowano wówczas około 1700 przypadków przelotów NOL, zaś niektóre z nich wywoływały nieomal historię talerzową. W doniesieniach gazet amerykańskich z tamtego okresu można na przykład znaleźć „mroźną krzew w zylach” relacje o pojawieniu się nad stolicą USA całej armady latających talerzy, które stoczyły między sobą „bitwę kosmiczną”. Opisujące wydarzenia miały miejsce dwukrotnie, pierwszy raz w nocy z 19 na 20 lipca, kiedy to tajemnicze obiekty korzystając z nieobecności myśliwców USAF penetrowały obszar powietrzny nad Waszyngtonem i po raz drugi 28 lipca wieczorem. Osobliwe pojazdy manewrowały wówczas na tak dużych wysokościach, iż nie zostały zauważone przez mieszczanów, natomiast obserwowane były na ekranach radarowych baz lotniczych położonych wokół Waszyngtonu oraz w centrum kontroli lotów stołecznego portu lotniczego, gdzie znajdował się wyżej oficjownie Pentagonu i służby wywiadowczej, przybyli tam w celu zbadania owego tajemniczego zjawiska. Rzecznik prasowy sił powietrznych

USA, Albert M. Chop, który był wśród nich, powiedział później, iż latające talerze były również widak golym okiem, przy czym wykonywały one ewolucje, których nie mógłby wykonać żaden ze znanych pojazdów powietrznych, zaś owej lipcowej nocy nie było żadnych zaburzeń termicznych i atmosferycznych. Jakiś czas później podobne zjawisko, tym razem nad Zatoką Meksykańską, zauważyła załoga jednego z bombowców amerykańskich, który obywatel w tym rejonie lot ćwiczebny. Z jej relacji wynikało, iż widziano dwie duże formacje NOL, w tym również jeden wielki obiekt, który nagle zbliżył się do ich samolotu. Owe dziwne pojazdy kosmiczne ukazały się również na ekranie radarowym bombowca, a ich prędkość wynosiła początkowo 8.430 km/godz., po czym gdy zaczęły się oddalać, wzrosła do 15 tys. km/godz.

Powyższe relacje właściwie niewiele się różnią od wielu innych, niejednokrotnie wymienianych także w niniejszym cyklu, z tą jednak różnicą, iż obecnie NOL były śledzone również przez urządzenie radarowe. Fakt ten miał ostatecznie obalić przypuszczenia niektórych badaczy fenomenu latających talerzy, iż NOL są złudzeniami atmosferycznymi, będąc zarazem koronowym argumentem na rzecz tezy, iż są one obiektami materialnymi. Wiadomo bowiem, że radar nie może wykryć czegoś, co nie istnieje w rzeczywistości. Pozostaje argument zwolenników pozaziemskiego pochodzenia NOL wydawał się nie do obalenia. A jednak. Zastanówmy się chwilę na czym polega zasada działania radaru. Jak wiadomo urządzenie to służy do określania odległości obiektów za pomocą fal radiowych, które odbijając się od napotkanej przeszkody, powracają w postaci „echa” do źródła ich emisji. Pomiar czasu powrotu „echa” pozwala na obliczenie odległości obiektu, zaś obserwacje owego „echa” prowadzi się na monitorze podobnym do telewizyjnego. Fale radiowe, które w atmosferze wznoszą się z prędkością bliską prędkości światła (tj. prawie 300 tysięcy km/sek.), podobnie jak fale świetlne ulegają załamaniu wskutek zmian właściwości różnych warstw powietrza, zależnych od temperatury, wilgotności itp. A zatem pojawienie się jasnej plamki na ekranie radarowym może być w równym stopniu spowodowane przez lecący wysoko samolot, jak też przez jakiś obiekt na ziemi, na który przypadkowo natknęła się załamana wiązka fal. Z kolei, ponieważ aparat emitujący fale wysyła od 500 do 1000 sygnałów na sekundę, przeto podczas rejestracji fali powrotnej może się zdarzyć, iż nie zawsze odpowiada ona fali wysyłanej. Może bowiem być echem poprzedniego sygnału. Dzieje się tak zwłaszcza, gdy sygnał powrócił po odbiciu się od daleko położonego obiektu. Niezwykłą więc, iż punkty świetlne zaobserwowane na ekranach radarowych podczas pamiętnej lipcowej nocy na lotnisku waszyngtońskim, a które wzięto za armadę latających talerzy, mogły być spowodowane ruchem cisłych i zimnych warstw powietrza. Wówczas sygnał odbity na przykład od jakiegoś daleko położonego domu mógł stworzyć złudzenie obiektu w ruchu.

Argumentacja ta nie przekonała jednak dostatecznie badaczy fenomenu NOL, gdyż obstawiając przy fizycznym aspekcie tych zjawisk nadal poszukują oni dowodu na korzyść swych tez. Ostatnio niektórzy z nich wystąpili z koncepcją przeprowadzenia dokładnej, naukowej analizy zjawisk, które towarzyszą pojawianiu się latających talerzy. Obserwacje te mają zostać dokonane za pośrednictwem specjalnego sprzętu. W tym celu w Paryżu pod kierunkiem prof. Hardy'ego został opracowany projekt automatycznej stacji badającej owe tajemnicze zjawiska. Stacja ta jest sterowana i kontrolowana przez niewielki komputer wykonujący około 500 tys. operacji na sekundę i jest wyposażona w dwa zespoły czujników. Pierwszy z nich składa się z czujników magnetycznych, komórek fotoelektrycznej, spektrometri, detektora infradźwięków oraz przyrządów do badania jonizacji atmosfery. Zadaniem tego jest zbieranie osmiu parametrów zjawisk fizycznych towarzyszących pojawianiu się NOL. Z kolei drugi zespół czujników, który pracuje jednocześnie z pierwszym i analizuje warunki meteorologiczne, złożony jest z urządzeń do pomiaru ciśnienia atmosferycznego, temperatury, jasności i przejrzystości atmosfery oraz stopnia wilgotności powietrza. Ewentualne zaobserwowane zjawiska powstają NOL mogą zostać wykryte przez zainstalowanie anten UKF oraz urządzeń radarowych.

W chwili, gdy stacja „wykryje” obecność NOL, elektroniczny kontroler czujnika pola magnetycznego i grawitacyjnego wiązy urządzenie pomiarowe, zaś oba zespoły czujników przekażą wyniki pomiaru do tzw. multipleksora, który dokona selekcji tych informacji. Dane te są następnie porządkowane i kodowane w system cyfr dwójkowych w tzw. konwerterze analogowym. Ze względu na dużą ilość dokonanych pomiarów tego samego parametru (ponad 20 tys./sek.) zebrane dane są przechowywane w wewnętrznej pamięci roboczej komputera. Za chwilę, gdy cykl pomiarów związany z obserwacją NOL zostanie zakończony, informacje zawarte w pamięci roboczej są przekazywane do urządzenia rejestrującego. Następnie zapis magnetyczny utrwalany jest automatycznie na taśmie perforowanej z prędkością 240 bitów na sekundę. Ponadto stacja wyposażona jest w zegar, który pozwala na zapisywanie przy każdej informacji dokładnego czasu poszczególnych wydarzeń związanych z pojawieniem się NOL. Poza tym urządzenie posiada również ręcznie sterowane lampy Aldisa i laser do ewentualnego nawiązania łączności z NOL oraz zespół rezerwowych baterii elektrycznych włączających się samoczynnie w wypadku przerwy w dostawie energii. Jak dotąd jednak brak jest jakichkolwiek informacji o efektach funkcjonowania owej stacji. A może przyczyną jest brak NOL?

Wielu badaczy fenomenu latających talerzy już od dawna usiłuje znaleźć odpowiedź na pytanie, czy możliwe jest, aby niezidentyfikowane obiekty latające były pojazdami przedstawiciel innych cywilizacji. Tajemniczy i niejasny charakter tych zjawisk skłania większość ludzi do przypuszczeń, iż NOL są wytworem cywilizacji pozaziemskich stojących na bardzo wysokim poziomie, które tym sposobem prowadzą obserwacje naszej planety i jej mieszkańców. Według niektórych specjalistów z dziedziny ufologii (od angielskiego UFO tzn. NOL — dyscyplina traktująca o niezidentyfikowanych obiektach latających) osobliwe obiekty mogą być formą podróży w czasie mieszczących Ziemi zrywających o 15 tysięcy lat później

Dalszy ciąg na str. 12

U PRZYJACIÓŁ

Czołowa oficyna wydawnicza CSRS, „Ceskoslovensky Spisovatel” obchodzić będzie wkrótce 30-lecie swej działalności. Wydawnictwo specjalizuje się przede wszystkim w czeskiej klasycie i nowościach czeskiej beletrystyki. Publikuje corocznie utwory prawie dwustu autorów — prozaików, poetów, krytyków literackich. Dotychczas „C. S.” opublikował blisko cztery tysiące tytułów w nakładzie 57 milionów egzemplarzy.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje fakt, że wydawnictwo zajmuje się w szerokim zakresie publikacją tłumaczeń z klasyki i współczesnej literatury polskiej. Ukazały się tutaj m. in. „Ballady” Słowackiego, „Lalka” Prusa, wiersze Norwida, Broniewskiego, Tuwima i Gałczyńskiego oraz wiele innych tytułów. Wśród ostatnich przekładów znalazła się antologia 10 współczesnych polskich poetów pt. „Czysty śpiew”, tom esejsów Kazimierza Wyki, „Boldyn” Jerzego Putramenta i „Korupcja” Andrzeja Kuśniewicza.

Za upowszechnienie polskiego piśmiennictwa w CSRS, wydawnictwo „Ceskoslovensky Spisovatel” otrzymało odznakę „Zasłużony dla kultury polskiej”.

W roku bieżącym w NRD odbędą się wiele interesujących imprez kulturalnych o charakterze międzynarodowym i ogólnokrajowym. Szczególne znaczenie będzie miały w związku ze Zjazdem SED — XVI Festiwal Robotniczy, który odbędzie się w okręgu dreźnieńskim, z udziałem zespołów amatorskich z całego kraju. W Dreźnie również w tym samym czasie, odbędzie się festiwal teatrów zawodowych NRD oraz wystawa prac plastyków krajów socjalistycznych, pod hasłem „Klasa robotnicza w sztuce”.

Aktualnie Berlin gości uczestników Międzynarodowego Festiwalu Pieśni Politycznej. Dalsze imprezy, to Międzynarodowy Festiwal Bachowski w Lipsku i Międzynarodowy Tydzień Filmu Dokumentalnego i Krótkometrażowego.

Ponadto, jak co roku kontynuowana będzie wymiana kulturalna z bratnimi krajami socjalistycznymi. M. in. w październiku odbędą się w Polsce „Dni dramaturgii NRD”.

W 1975 roku Kubański Instytut Książki opublikował ponad 35 mln egzemplarzy. Jest to wielki sukces, gdyż Instytut startował w roku 1967 z poziomu zaledwie 3,5 mln egzemplarzy. Obecnie KIK skupia siedem wydawnictw, publikując wszelkiego rodzaju podręczniki dla szkół, dzieła literatury pięknej i książki o sztuce, dzieła klasyków marksizmu-leninizmu, książki z zakresu nauki i techniki, utwory dla dzieci i młodzieży, itp.

Do najbardziej poszukiwanych na Kubie książek należą wydawane tu w stosunkowo dużym nakładzie dzieła klasyków filozofii marksistowskiej. Np. kolejne wydanie „Kapitału” rozeszło się momentalnie. Obecnie publikowane są ostatnie tomy z serii „Prace zebrane Jose Martíego” — wybitnego kubańskiego myśliciela i rewolucjonisty, kierującego walkami o niepodległość Kuby u schyłku XIX wieku.

Rasul Gamzatow, laureat Nagrody Leninowskiej, opublikował niedawno poemat „Cena ostateczna”. Z tej okazji przeprowadził z nim rozmowę dziennikarz TASS.

„Puls życia naszego kraju na przełomie 1975—1976 r. określają przygotowania do XXV Zjazdu KPZR — powiedział R. Gamzatow. — Jeśli spojrzymy na drogę, jaką przeszła w ciągu ostatnich 5 lat razem z całym narodem literatura radziecka, przekonamy się, że były to lata dobrego siewu i dobrego literackiego urodzaju. Wystarczy tylko przypomnieć głęboko związane z życiem narodu książki pisarzy rosyjskich — Wasilija Szuszyna i Fiodora Abramowa, wojenna proza Białorusina — Wasilija Bykowa, mądre teksty książek Czynigiza Ajmatowa, płomienne wiersze Kabadynca — Kajsyna Kuljewa, pełne filozoficznej refleksji poematy Litwina — Eduardasa Miečelajisa... Listę tę dziennikarz TASS proponuje zakończyć nazwiskiem Gamzatowa, gdyż każda z jego publikacji była wydarzeniem w życiu literackim Kraju Rad.

Wciąż nowe dowody bezceremonialnej ingerencji Centralnej Agencji Wywiadowczej w wewnętrzne sprawy wielu państw wywołują na Zachodzie rosnący niepokój. Niedawno szeroki rezonans w całym świecie wywołał, zamieszczony na łamach francuskiej gazety „Libération”, wykaz kilkudziesięciu pracowników CIA działających w Paryżu pod przykrywką oficjalnych amerykańskich instytucji. Teraz znów ogromny skandal wywołała „operacja” CIA przeprowadzona ostatnio we Włoszech.

Oto CIA przekazała co najmniej 6 milionów dolarów w gotówce poszczególnym antykomunistycznym liderom politycznym Włoch, próbując przeszkodzić tą drogą nowym sukcesom Włoskiej Partii Komunistycznej w wyborach. „Operacja” mieści się w ogólnym planie tzw. amerykańskiej strategii wobec Włoch.

Afera nabrała tak wielkiego rozgłosu, że sporo miejsca poświęca jej także prasa amerykańska. Jak podaje „New York Times”, pewien oficjalny przedstawiciel amerykański potwierdził, iż partie burżuazyjne we Włoszech wydają rocznie dziesiątki milionów dolarów, nazwał te subsydia CIA „znikomo małą sumą”. Następnie scharakteryzował tę tajną operację jako mało znaczącą w porównaniu z głównym celem Ameryki, który polega na tym, żeby nakłonić niekomunistyczne partie polityczne do ożywienia ich działalności i w konsekwencji przeszkodzić komunistom w wejściu do koalicji rządowej.

„Sześć milionów dolarów nie znaczą absolutnie nic” — powiedział ów oficjalny przedstawiciel. Następnie wyjaśnił, że środki te miały pomóc niektórym prawnikom działającym w zdobyciu popularności. W końcu lat pięćdziesiątych tajne subsydia CIA przekazane chrześcijańskim demokratom we Włoszech wyniosły trzy miliony dolarów. W 1967 roku ten dolarowy rurociąg zakrecono. Choćby prezydent Richard Nixon, jak się twierdzi, odrzucił w 1969 roku propozycję wznowienia tajnego finansowania partii włoskiej prawicy, kompania telewizyjna CBS w programie informacyjnym w grudniu 1975 roku podała, że CIA przekazała na przeprowadzenie wyborów parlamentarnych we Włoszech w 1973 roku dziesięć milionów dolarów.

Największa kompania naftowa w Stanach Zjednoczonych „Exxon Corporation” poinformowała w lipcu 1975 roku, że przekazała włoskim partiom prawniczym, w okresie od 1963 do 1972 roku 46—49 milionów dolarów. Inne środki przekazywało za pośrednictwem kompanii „Esso Italiano”. „Mobil Oil Corporation” złożyła oświadczenie w podkomisji spraw zagranicznych Izby Reprezentantów, że przekazane przez nią dary pieniężne na rzecz włoskich prawniczych partii politycznych wyniosły w okresie od 1970 do 1973 roku ponad 500 tys. dolarów rocznie.

Nie ulega wątpliwości, iż znaczna część tych środków trafiała koniec końców na prywatne konta bankowe liderów włoskiej partii chrześcijańsko-demokratycznej. A może w tym jest też metoda: uzależnienie działaczy chadeckich od CIA, a nawet możliwość szantażu?

„Teraz — pisze komentator polityczny półoficjalnego włoskiego dziennika rządowego „Il Messaggero” — z tej całej poważnej historii można już wyodrębnić następujące fakty: po pierwsze, Amerykanie oficjalnie przyznają, iż machinacje CIA, żeby przy pomocy przekupstwa kierować działalnością niekomunistycznych partii we Włoszech trwała nieprzerwanie od 1948 roku (z krótką przerwą w latach sześćdziesiątych); po drugie, po wy-

szania się Amerykanów w wewnętrzne sprawy Włoch. Te zakulisowe machinacje CIA we Włoszech ostatecznie rozwiły mit o tzw. „obronnym” charakterze NATO. We Włoszech mówi się szeroko, o czym zresztą informowała w swoim czasie amerykańska prasa, że w czasie swej podróży po zachodniej Europie w początkach grudnia 1950 roku, sekretarz stanu USA Henry Kissinger stwierdził (jak oświadczyła osobistości dobrze poinformowane), iż Stany Zjednoczone są zdecydowane uczynić wszystko co możliwe, żeby tylko przeszkodzić komunistom w wejściu do rządów państw zachodnich i osłabieniu w ten sposób NATO. Tu warto wspomnieć, iż penetracja wojskowego aparatu Włoch jest bardzo łatwa, wchodzi on

dziej Centralnej Agencji Wywiadowczej. To zainteresowanie Włochami zrodziło się tuż przed zakończeniem II wojny światowej, kiedy stało się jasne, że komuniści i socjaliści, którzy odgrywali najaktywniejszą rolę w ruchu oporu przeciwko faszystom, będą także odgrywać pierwszoplanową rolę w powojennym życiu kraju. Amerykanie od razu wybrali chrześcijańskich demokratów jako siłę opozycyjną przeciwko obu tym partiom, biorąc pod uwagę, iż kontakty partii chadeckich z Kościołem gwarantują niezawodność ich działań.

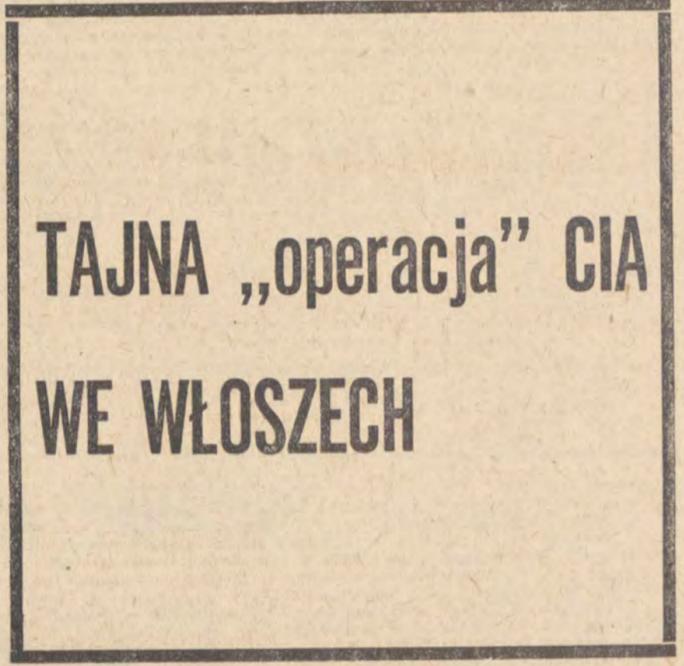
Tak więc działalność tajnych służb amerykańskich we Włoszech rozwinęła się w dwóch kierunkach, zresztą jak zawsze: „destabilizacja” partii lewicowych — z jednej strony, i popieranie Partii Demokracji Chrześcijańskiej, która zawsze była „tama powstrzymująca komunizm” — z drugiej. Tak jest właśnie cel obecnych „operacji” CIA we Włoszech. Partie, które otrzymały pieniężną pomoc CIA, dokładają wszelkich starań by upowszechnić możliwie najszerszej określony światopogląd polityczny oraz sposób działania, u podstaw których leżą amerykańskie wzorce: amerykańska demokracja i amerykański model życia.

Rozumie się samo przez się, iż ze względu na oddziaływanie silnej Włoskiej Partii Komunistycznej rezydentura CIA we Włoszech zawsze była bardzo aktywna, a obecnie jest jedną z najliczniejszych, jeśli nie najliczniejszą agencją w Europie. Zadanie polegało na stworzeniu atmosfery strachu i zagrożenia, które by zabezpieczyły sprzyjające warunki do nowego sukcesu Partii Demokracji Chrześcijańskiej w wyborach, podobnie jak to miało miejsce w 1948 roku. Jednakże, z różnych względów, sprawy nie potoczyły się tak gładko i „komunistyczne niebezpieczeństwo” znów stało u progu Włoch...

Nawiązując do tej głośnej już dziś „sprawy włoskiej”, komentator jednego z pism amerykańskich zauważa z sarkazmem, że „jeśliby się nawet udało utrzymać w tajemnicy fakt przekupstwa liderów włoskiej chadeckiej, to i tak sama idea tych subsydiów jest całkowitym niewypałem. Głównym powodem słabości i niepowodzenia włoskiej partii niekomunistycznej nie jest bowiem brak funduszy, lecz niekompetencja i korupcja systemu zarządzania na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Subsydiując te partie, czy też dając do tego, Stany Zjednoczone subsydiują w istocie brak kompetencji, bankructwo, próżniactwo, łapownictwo i protekcjonizm”.

W sytuacji, gdy w stosunkach między państwowych utrwalają się coraz bardziej zasady współpracy oparte na wzajemnym poszanowaniu suwerenności i niemieszaniu się do wewnętrznych spraw innych krajów, ujawnione ostatnio fakty tajnej działalności CIA we Włoszech, a także w innych krajach, są szczególnie kompromitujące. „Operacje” CIA w krajach zachodniej Europy, prowadzone w imię zachowania i umocnienia pozycji polityki atlantyckiej, nie służą oczywiście ani pozytywnym przemianom we współczesnym świecie, ani procesowi odprężenia w stosunkach międzynarodowych.

JERZY CZECH



cofaniu się Grecji z wojskowej organizacji NATO (we wrześniu 1974 roku) i wydarzeniach w Portugalii. Włochy stały się dla Stanów Zjednoczonych swego rodzaju Wietnamem i na nie — uważają USA — należy teraz wywierać nacisk, żeby zabezpieczyć amerykańskie interesy; po trzecie, działalność CIA na Półwyspie Apenińskim — potwierdza fakt, że USA nadal traktują Włochy jak swoją „kolonię” oraz dają do rozbięcia siły politycznej walczącej o nową formę rządów we Włoszech”.

Głębokie zaniepokojenie włoskiej opinii publicznej wzbudza okoliczność, iż w obliczu tych faktów włoskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie podjęło dotąd żadnych kroków, a nawet nie złożyło publicznego oświadczenia z powodu niedopuszczalnego mie-

bowiem w skład militarnej struktury NATO i CIA wie doskonale, na jakich oficerach i na jakich szczeblach można polegać, jeśliby zaszła potrzeba użycia siły, zastosowania represji itp.

Zwraca także uwagę oświadczenie, co podkreśla prasa włoska, amerykańskiego senatora-demokraty, C. Pella, przewodniczącego senackiej podkomisji spraw zagranicznych. „Dobrze zorientowanego we wszystkich tajnych operacjach CIA”, Pella wystąpił w obronie idei subsydiowania centrystowskich partii politycznych we Włoszech, bowiem „we Włoszech postawiono na kartę o wiele poważniejszego interesu niż w Anglii, gdzie CIA wydała 35 milionów dolarów”.

Stala obecność CIA we Włoszech i mieszanie się w wewnętrzne sprawy tego kraju stały się już niełatwo tra-

tyczne o takich wydarzeniach, jak wybory prezydenckie w USA i wybory parlamentarne w RFN, czy też ukształtowanie się władzy w Chinach po śmierci Czou En-laja.

Ponaglani innymi ważnymi wydarzeniami, nie zastanawialiśmy się jeszcze na tym miejscu, jakie mogą być następstwa odejścia „wiecznego” premiera. Wywołanie tematu właśnie teraz jest uzasadnione doniesieniami z Pekinu, że trwa tam jakaś „duża dyskusja”, co można wyinterpretować np. jako zebranie się Komitetu Centralnego na obrady.

Sukcesja po Czou En-laju wydaje się być przesądzona. Przypomnijmy, że w czasie niedawnej wizyty prez. Forda w Chinach, funkcję gospodarza spełniał Teng Siao-ping, który przez 20 miesięcy choroby zastępował premiera. Na niego więc wskazuje się powszechnie, jako na następcę. Czy także na stanowisku wiceprzewodniczącego partii numer 1? Wyjaśniamy, że Teng Siao-ping jest trzecim wiceprzewodniczącym, a w KPCh kolejnością ma znaczenie kapitałowe. Otóż obserwatorzy hermetycznego życia w Chinach takiej ewentualności awansu Tenga nie zakładają.

W ostatnim okresie polityka zagraniczna Pekinu cechuje się wzmoczoną antyradzieckością i pełniejszą konfrontacją polityczną i ideologiczną z całym światem socjalizmem. Obiektem nieustannych ataków jest polityka odprężenia, której maocsi starają się przeszkodzić. Nawiazano jednoznacznie w swej wypowiedzi sojusze ze wstępnym reżimem w Chile i siłami imperialistycznymi w Angoli. W tym ostatnim przypadku Chiny sprzedają

Wydarzenia tegorocznego kalendarza politycznego

Już niewiele czasu dzieli nas od otwarcia obrad XXV Zjazdu KPZR. Właśnie zakończyła się kampania wyboru delegatów, którzy 24 lutego zasiadają na Kremlu. Dyskusja przedzjazdowa rozwijała się nad Wytycznymi Komitetu Centralnego, prezentującymi główne kierunki rozwoju gospodarki narodowej ZSRR w latach 1976—1980. Zjazd będzie wielkim wydarzeniem nie tylko w życiu Związku Radzieckiego. Jak i poprzednie — wniesie na pewno wiele do dorobku międzynarodowego ruchu komunistycznego i robotniczego. Wynika to z wkładu KPZR do teorii i praktyki naszego ruchu, jej największych doświadczeń. Ale XXV Zjazd spełni także doniosłą rolę na polu pokojowego rozwoju stosunków między państwami. Odbędzie się przecież w okresie, kiedy niektóre z punktów radzieckiego programu pokoju, zostały już spełnione. Od 9 kwietnia 1971 roku, a więc daty zakończenia XXIV Zjazdu, wiele

zmieniło się w świecie. Gdyby nie wojna w Angoli, moglibyśmy stwierdzić, że wygasły najniebezpieczniejsze ogniska konfliktów w świecie, a w Europie — kontynencje ognisk najbardziej zapalnym — proklamowane zostały, zgodnie przyjęte, zasady aktywnego pokojowego współistnienia. Świat jest zatem inny niż na początku lat siedemdziesiątych, uspokojony, bardziej przekonany o celowości zgodnej współpracy. Nie znaczy to wszakże iż różne siły nie będą podejmowały prób przekładania zwrócić, aby bieg wydarzeń skierować na inne tory. Dlatego w rozwijaniu procesu odprężenia nie może być ani chwili przerwy, konieczny jest ciągły postęp. XXV Zjazd KPZR z pewnością potwierdzi i rozwinię kierunki pokojowej ofensywy. Stąd zainteresowanie jego przebiegiem i decyzjami na całym świecie. Rok bieżący może być pod wielu względami szczególnie interesujący na arenie międzynarodowej. Myślimy tu

broń walczącym przeciwko patriotom angielskim. Wymowa tych przykładowo tylko wybranych faktów jest oczywista.

Kto jednak otworzył tak szeroko front walki przeciwko socjalizmowi i pokojowi — Teng Siao-ping? Dziś jeszcze trudno o odpowiedź, ale przecież musi ona nadejść w najbliższym czasie.

Dla dalszego rozwoju sytuacji w świecie nie będzie też obojętne, kto zostanie prezydentem USA i jaki rząd sformowany zostanie po wyborach w RFN. Dziś nie podważa się szans Forda i koalicji SPD-FDP. Z takiej ewentualności wypływałaby wielka możliwość na pogłębienie procesu odprężenia. Trzeba bowiem zaznaczyć, że i w USA i w RFN nie brak przeciwników pokojowego rozwoju stosunków między państwami. Czasem mówi się o konieczności „ostrożnego” podejścia do odprężenia, czasem — jak chadecja w RFN — neguje porozumienia, które mają jednoznacznie służyć dalszemu normalizowaniu stosunków, jeszcze innym razem — np. w Angoli — organizuje militarne wyprawy dla podtrzymania neokolonialistycznego porządku. Oczywiście, te i inne fakty nie mogą wpłynąć generalnie na zmianę sytuacji świata, gdyż ta odzwierciedla realny i wciąż ewoluujący na korzyść socjalizmu i pokoju, układ sił, mogą jednak proces przemian opóźnić.

Z tych to względów wymienione wydarzenia tegorocznego kalendarza, zasługują będą na naszą uwagę.

W. ŚLAWSKI

## HIPOTEZY

# LATAJĄCE TALERZE...

Dokończenie ze str. 10

niż my (!). W opinii innych — mogą spełniać rolę srodków łączności utrzymywanej pomiędzy dwiema różnymi cywilizacjami pozaziemskimi, bądź są po prostu niezwykle sprawnymi statkami kosmicznymi.

Najbardziej powszechną, choć zarazem najbardziej szokującą pod tym względem stała się teoria o pozaziemskim pochodzeniu talerzy. Do jej ugruntowania się w umysłach ludzi (zwłaszcza w USA) przyczyniły się niewątpliwie rewelacje Georga Adamskiego, który nie tylko obserwował tajemnicze obiekty poruszające się w przestrzeni powietrznej, ale jako pierwszy „nawiązał kontakt” z „człowiekiem z innego świata, który wyładował na Ziemi w latającym talerzu. Następnie Adamski odbył wraz z nim lot na Wenus (!). Wydawać by się mogło, że nawet daleko nie uwiaryłoby w podobne bajki, ale Adamski posiadał niezbitą dowody, jakimi były zdjęcia latającego talerza. Wszystkie one zostały ocenione przez specjalistów jako autentyczne. Choć z biegiem czasu nikt już nie traktował poważnie jego opowieści, to jednak dowód w postaci ówczesnych zdjęć został obalony dopiero niedawno. Stało się to zresztą zupełnie przypadkowo. Otóż w ubiegłym roku jeden z byłych członków amerykańskiej komisji do spraw badania niezidentyfikowanych obiektów latających spędzając urlop w Szkocji zauważył w jednym z pubów lodówkę do napojów w kształcie walca. Ponieważ lodówki tego typu należą już do rzadkości, przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Złazcza pokrywa wzbudziła jego zainteresowanie. Już zdziwił widział taki kształt. Nagle doznał ośnienia. Tak, nie może być wątpliwości, pokrywa przypominała latający talerz, taki sam, jaki widział na zdjęciach Georga Adamskiego. Niezwłocznie skontaktował się z komisją, w której pracach brał swego czasu udział. Po szeregu eksperymentów przeprowadzonych przez komisję zagadka latającego talerza została ostatecznie wyjaśniona. Okazało się, że przy wykonywaniu zdjęcia pokrywa była podparta na trzech piloczkach tenisowych, które miały imitować urządzenia do lodowania.

Fakt ten jednak nie zdołał podważyć wiary wielu ufologów w pozaziemskie pochodzenie NOL. Wciąż bowiem pojawiają się informacje o zaobserwowaniu nad tym czy innym obszarem naszego globu dziwnych obiektów latających. Niektóre z nich mówią o przypadkach lodowania NOL oraz porównaniu istot ludzkich oraz tajemniczych przybyszów z Kosmosu. Jesienią ubiegłego roku pojawiła się w prasie amerykańskiej informacja (przedrukowała ją również nasza gazeta), iż w Ameryce Północnej grupa drwali zauważyła latający talerz, który nagle wyładował na Ziemi i po pewnym czasie, równie nagle, unosił się w powietrze porywalnie jednego z drwali.

Ponieważ przypadki takie nie są odosobnione, istnieje więc wiele relacji o niezidentyfikowanych obiektach latających, widzianych przez ludzi. Jeden z ufologów francuskich, Charles Noel Martin, w artykule na temat ówczesnych dziwnych obiektów latających, zamieszczonym w 1974 roku w miesięczniku „Science et Vie”, opracował na podstawie zawartych w relacjach informacji portret roboczy tych pozaziemskich istot, zawierający ponad 40 podstawowych cech. Portrety te, podawane przez różnych obserwatorów, są jego zdaniem tak dalece dokładne, że wykluczają fantazje mitomaniów. „Otoż — jak pisze Martin — zdaniem ufologów Ziemi odzwierciedlają wspólnie dwie różne cywilizacje, bowiem NOL są często pilotowane przez dwa, zasadniczo różne typy istot, które często stanowią wspólne zalogi niezidentyfikowanych obiektów latających. Jeden typ istot liczy około 1 metra wzrostu i posiada członki bardzo drobne i delikatne, bardzo dużą głowę bez nosa i ust, lecz z oczami bardzo wydłużonymi. Drugi typ istot liczy około 2 m wzrostu i ma wykład bardziej zaokrąglony. O ile te relacje — zastanawia się Martin — odzwierciedlają prawdę i nie są rzeczywistością czystą fantazją ufologów, trudno powiedzieć...”

Nie można oczywiście wykluczyć ewentualności, iż we wspomnianych istnieli poza Ziemią inne formy życia. Być może występują one na planetach odległych systemów gwiazdowych, a może nawet w naszym układzie planetarnym, zwłaszcza na posiadających atmosferę satelitach Saturna i Jowisza. Życie na nich mogło się przecież rozwinąć niekoniecznie w oparciu o taki sam nośnik materialny, jak białko i węgiel na Ziemi. A zatem przy tym wszystkim, co zostało dotychczas na temat NOL powiedziane, nie można z całą pewnością odrzucić hipotezy, iż w pewnych warunkach naturalnych i przy wykorzystaniu innych niezmiennych nam substancji organicznych, gdzieś we wszechświecie istnieją cywilizacje istot inteligentnych, które osiągnęły poziom rozwoju wyższy od naszego. Jednakże jest również faktem niezaprzeczalnym, iż ufologia doszła do takiego szczebla rozważań, że jeśli przedstawione wyżej fakty są nawet prawdziwe, to są dla nas tak dalece trudne do przyjęcia, że zakrawają na fikcję.

BOHDAN FELT

## OPERA

Z kompozytorem ROMUALDEM TWARDOWSKIM rozmawia — Maria Hoffman.

— Łódzkim melomanom znana jest Pańska muzyka z koncertów w Filharmonii i z przedstawień operowych w Teatrze Wielkim. Przed kilkoma laty odbyła się właśnie w Łodzi prapremiera opery „Tragedya, albo rzecz o Janie i Herodzie”, ciesząca się powodzeniem u publiczności — nie tylko polskiej. Była to pozycja eksportowa naszego teatru. Teraz kolejna prapremiera nowej Pańskiej opery „Lord Jim” wg Józefa Conrada.

— Nie tyle według, ile raczej na wstępnym opowiesci conradowskiej. Jest to watek człowieka, który popadł w błąd, cierpi z tego powodu, nie zalamuje się jednak, walczy i potem staje przed wyborem — albo stchórzyć, albo stawić czoła niebezpieczeństwu, wyzwaniu — tym razem zdaje egzamin, nie zalamuje się, za co płaci bardzo drogo — własnym życiem.

— Czy autorem libretta jest również Pan?

— ... Tak to było przed dwunastu laty w Teatrze Wielkim w Warszawie. Ale to nie był mój debiut sceniczny. Rok wcześniej Opera Śląska wystawiła moją młodzieńczą, wczesną operę...

— „czteroktowa „Cyrao de Bergerac”!

— Opera romantyczna. Potem był „Nagi książę”, potem była dłuższa przerwa, po której ukazała się tu, w Łodzi, „Tragedya” w 1969 roku. Potem miałem premierę baletu „Posagi czarnoksiężnika” czyli w zmienionej wersji „Rzeźby Mistrza Piotra” we Wrocławiu, było to grane również w Gdańsku i w ubiegłym roku podczas „Warszawskiej Jesieni” ukazało się w Warszawie. Obecna premiera „Lorda Jima” jest ósmą z kolei. Jestem przekonany, że to nie będzie opera w stylu tradycyjnych realizacji, kiedy to śpiewak stoi na scenie i oczy ma skierowane na dyrygenta to będzie teatr. To będzie na pewno teatr dramatyczny.



Foto: W. Parys

# NAJWAŻNIEJSZA JEST DLA MNIE PUBLICZNOŚĆ

— Wiadomo, że muzyka współczesna jest muzyką trudną, nie tylko do słuchania, ale i wykonywania. Jak na ogół radzą sobie orkiestry?

— Uściślony pojęcie, co to jest muzyka współczesna. W muzyce współczesnej mieści się i Strawiński i Britten i Szostakowicz ale również i John Cage, superawangardysty i tak dalej.

„Lord Jim”, opera Romualda Twardowskiego. Prapremiera światowa — Teatr Wielki w Łodzi, 14.II.1976 r. Kierownictwo muzyczne: Antoni Wicherek. Reżyseria: Maria Fołtyś. Scenografia: Marian Kolodziej. Choreografia: Teresa Kujawa. Kierownictwo chóru: Zbigniew Pawelec.

Ja prezentuję tę współczesność bardziej umiarkowaną. Moja muzyka na pewno mieści się w drugiej połowie XX wieku — chociażby ze względu na zastosowanie typu techniki aleatorycznej, punktualistycznej czy klastrowej — ale jest ona oparta na emocjonalnej podstawie, osnowie. Bo wtedy — moim zdaniem — jest dobrze odbierana. Casus Penderecki. Operuje bardzo nowoczesną techniką — ale muzyka jest wyrazowa i dlatego publiczność ją odbiera. A z wykonawcami to przeważnie bywa tak: nie chcą być złośliwi, ale im się bardziej tradycyjnie napisze — tym się bardziej podoba — i czasami kompozytor ulega tej atmosferze. A potem okazuje się,

że to się szybko starzeje. Nie warto to bardzo dogadzać wykonawcom, nie warto iść na kompromisy — to się nie opłaca na dłuższą metę.

— Wiem, że zasadę tę wciela Pan w życie — soliści bowiem twierdzą, że mają trudne zadanie wykonując napisane przez Pana partie.

— Tak, jakkolwiek gdybym porównał to co napisałem, z tym co piszą inni w rodzaju Busottiego czy Jacopettiego — to jest to bardzo proste. Ale to jest trudne w porównaniu z tym, co dotychczas się tu w Łodzi robiło — i może to będzie jakaś mała lenka moja zasługa, iż narzucając trudniejsze zadanie przyczynię się do podniesienia poziomu, możliwości wykonawczych zespołu. Przyznam, że pisałem tę rzecz specjalnie dla Teatru Wielkiego w Łodzi — dla jego wykonawców, ale myślałem nie tylko o wykonawcach, ale i odbiorcach.

Bo powiedzmy sobie szczerze — takie miasto jak Łódź i Warszawa może dostarczyć bardzo wyrobionej i znającej się na rzeczy publiczności na kilka przedstawień. Nie ma cudów. Ale potem przecież przyjdą inni. I przecież ja też o nich muszę myśleć. Muszę brać pod uwagę szarego, szeregowego odbiorcę. Jakże to ma konsekwencje? Muszę pisać muzykę emocjonalną, ekspresyjną, aby słuchacz był intuicyjnie zaangażowany.

— Pańskie zamierzenia jeśli chodzi o zdobycie słuchacza — bo tak to zrozumiałam — są, że spełniły się jeśli chodzi o „Historyje”...

— „Tragedya”... Waldorff kiedyś też napisał, że to jest „Historyja”... Bo to u Dejki była „Historyja”...

— Sądzę, że podobnie będzie z „Lordem Jimem”. No, ale to ocenimy dopiero po premierze.

— Oby tak było. Z tym, że ja pani coś powiem. Kompozytorzy robią czasem takie miny, że piszą dla siebie, nie dla publiczności — a to jest nieprawda. Każdemu z nas bardzo zależy na publiczności. Wcale tego nie ukrywam — piszę dla ludzi. Rzecz jasną jest wyprzedzanie epoki, pisanie dla przyszłych pokoleń, ale stosowanie tej zasady w całej rozciągłości jest absurdalne. Gdyby tak było, to co mamy, który nas utrzymują, finansują i chcą przyjąć nas posłuchać.

— Dwukrotnie był Pan laureatem pierwszej nagrody Międzynarodowego Konkursu Kompozytorskiego w Monako, jest Pan również laureatem Międzynarodowego Konkursu pod nazwą „Trybuna kompozytorów” organizowanego przez UNESCO. Nie licząc innych, wielu wyróżnień (jak choćby

ostatnie w Monako za „Lorda Jima”), Wymieniam pańskie laury, bo w gronie fachowców został Pan uznany za mistrza w swoim fachu...

— Ja pani przerwę — i powiem, że największą jednak dla mnie nagrodą jest uznanie publiczności.

— Analizując Pana twórczość widać wyraźnie, że większość kompozycji to utwory wokalne. Czy jest to łatwiejszy sposób dotarcia do publiczności?

— Wie pani, nigdy się nad tym nie zastanawiałem — zaskoczyła mnie pani nawet tym pytaniem. To wynika chyba stąd, że staram się nadać muzyce ekspresję, a głos ludzki ma jednak najwięcej wyrazu. Jest to najpiękniejszy instrument — i najstarszy.

— Pan pozwoli, że zapytam stereotypowo: Pańskie dalsze plany.

— Mam na warsztacie rodzaj humoreski — nazywam to humoreską operową — dla telewizji. Jest ona oparta na zapomnianym opowiadaniu Stefana Żeromskiego „Pieśń bez słów”, potem mam zamówienie na parę błyskotliwych utworów dla znanego wiołoczelisty Romana Jabłońskiego, chciałby je grać na bis — potem mam zamówienie na cykl pieśni, na głos z fortepianem.

— Pisze Pan dla telewizji i dla radia. Wnioskując z tego jest Pan zwolennikiem tych „środków przekazywania sztuki”?

— Oczywiście. Na przykład opera „Upadek ojca Surina” wg „Matki Joanny od aniołów” Iwaszkiewicza była specjalnie napisana dla radia. Widzi pani, niektórzy moi sławni koledzy napisali coś dla radia czy telewizji, a potem sprzedali to na scenę — ja pisałem wyłącznie dla radia. Jeszcze pani przypomnę, że „Rzeźby mistrza Piotra” — mój balet — jest również zrealizowany dla telewizji — i to w kolorze. Robiła to Teresa Kujawa, główny choreograf Teatru Wielkiego w Łodzi. Teraz ustawiła tańce do „Lorda Jima” w II akcie. Jest na co popatrzeć.

— Jednym słowem akceptuje Pan propagowanie sztuki przez radio i telewizję...

— ... ale wnikliwą analizą naszej twórczości zajmuje się naturalnie prasa. Stąd przyjemność rozmowy z Panią.

— Za którą — nie tylko grzecznościowo — dziękuję.

## LISTY

„NIC NOWEGO POD SIATKĄ”

Bogda Madej w felietonie „Nic nowego pod siatką” przeprowadził ocenę pracy trenera reprezentacji piłki siatkowej, Huberta Wagnera. Słuszna jest uwaga, że sytuacja w siatkówce budzi niepokój. Wytworzona atmosfera nie sprzyja w osiągnięciu dobrych wyników (vide „Resovii”). Bogda Madej przypisuje to różnym dośrodkom wujaszkom, ciotkom itp. oraz, że jest to wynik zawiści z osiągniętego tytułu mistrza świata przez H. Wagnera. Ciekawo, że cały sukces przypisuje się trenerowi. Zapomina się, że jednak grał zawodnicy. Oni też chcieli sukcesu. Nieprawda?

Nie będę ustosunkowywał się do spraw siatkarskich. W „Wojniaku” z wrocławskiej „Gwardii”. Bardziej interesuje mnie AZS-Czestochowa, skąd wywodził się Wiesław Czaja. Istnieje domniemanie, że gdyby W. Czaja był członkiem innego klubu, aniżeli „Stup” AZS-Czestochowa, to żaden problem by nie istniał.

Powrót W. Czaję do AZS-Czestochowa nie mieścił się nikomu w głowie. Złazcza luzonem, który chce „szarogęsieć”. A to uczynił H. Wagner. Wydaje mi się, że to trener ponosi jednak więcej winy za zmianę decyzji W. Czaję.

W. Czaja był i jest studentem. Ważne są igrzyska Olimpijskie. Ale ważna jest uczelnia. W ostatnim roku studiów, na skutek postawienia określonych warunków przez trenera H. Wagnera, W. Czaja nie chciał zrezygnować ani z igrzysk, ani z reprezentowania barw Polski. Zgodził się na przeniesienie do „Hutnika”. Pozornie zainstrowano mu AGH w Krakowie. Przy bliższym zerknięciu się z uczelnia AGH W. Czaję stwierdził, że prawdopo-

dobnie zostanie zawieszony w prawach studenta AGH. Wynikało to z innego profilu programu nauczania. Musiałby w krótkim czasie zdać egzamin z kilku przedmiotów, ażeby zaliczyć semestr, który miał prawie ukończony na Politechnice Częstochowskiej. Jest to problem, czy nie?

Mam troje dzieci, wszyscy uprawiali określone dziedziny sportu, od wczesnych klas szkoły podstawowej. Uprawiali je prawie wyczerpująco w szkołach średnich. Ale gdy wyniki w nauce stawały się niepokojące, musiał wybierać: sport czy nauka? Dzielnie żałują tego. W Czaja zaważał się, wykorzystano to i „lomonem go”. Ja przeproszam. Wszyscy normalni ludzie cenią sobie dyscyplinę. Przesadza Bogda Madej pisać o nadludzkich waleczach H. Wagnera. Po prostu nie był skromny? Dlaczego np. trener kadry zapasników, p. Tracowski osiągał b. dobre wyniki i nikt go jakoś nie wygrzywał? Dlaczego były trener kolarzy, Łaska, pomimo dużych sukcesów, nie twierdził, że „son albo nikt”? Zawodnicy, sportowcy — to zespół ludzi świadomych. Bo są studentami (mają rodziny). Przeszkadza to H. Wagnerowi? Tak by wynikało, że to on jest zawistny o szkołę, uczelnia, rodzinę. Chce stworzyć „stajnię”, proszę bardzo... W oparciu o taką stajnię, trenera można osiągnąć wyniki. Ale wówczas ludzi trzeba pozbawić rozumem.

Pisze Bogda Madej, że H. Wagner wie czego chce. Tak, wie. Wie, że stracił ufanie u zawodników i czynił wszystko, żeby przeprowadzić dowód, że w przypadku niepowodzeń winni są wszyscy, tylko nie on. On chciałby dobrze. A prośba „Resovii”, nie dziwnie się wydaje, że drużyna naszpikowana „kadrami” nagłe przestała grać. A może to jest kluzd do metod H. Wagnera? Zawodnicy mu zawierzyli, on ich wyprzedał w pole,

Sprawa trenera K. Górskiego ma się do trenera H. Wagnera, jak pieśń do oka.

Czy H. Wagner jest dobrym trenerem? Na pewno zna swój fach. Ale to jest jeszcze mało. Wydaje mi się, że są sprawy pedagogiczne, psychologiczne, które są trudne do rozwiązania. Sprawa sukcesów. Nie gloryfikujmy zbyt wcześnie osób, które za dużo mówią o swoich cechach, charakterze, wymaganiach. To jest zwyczajny kłamstwo. To są popisy dzieci. I tak należy ocenić postępowanie H. Wagnera.

Ludzie, którzy dużo mówią o swojej pracy, nie budzą zaufania. Legenda — trener F. Stamm, jakże mało mówił. A jak długo osiągał sukcesy. Dlaczego mąż pani I. Szeffińskiej, przecież jej trener, o pracy swojej mało mówił?

Trainer, to tylko trener. O sukcesie zawsze decydują zawodnicy. Oni świadczą o trenerze, ich wyniki, osiągnięcia są dopiero sukcesem i trenera, a nie tylko trenera. Opinia „Sowieckiej Sport” o H. Wagnerze nie może być miarodajna. Może być tylko wyniki, a Mistrzostwa Europy wskazywały na to, że jednak coś się zmieniło. Strategiczne plany? Bujda.

WL. GOŁUCH (Łódź)

Mogłabym napisać, że Wl. Gołuch przeprowadził ocenę moich poglądów na sytuację w polskiej siatkówce i byłoby to taka sama prawda, jak to, że ja „oceniałam pracę trenera H. Wagnera”, jak również i to, że „cały sukces przypisuje trenerowi” i jego „nadmudzkiem walorom”. Ale mniejsza o szczegóły.

Niezrozumiały jest dla mnie „frontalny atak” Wl. Gołucha na Huberta Wagnera. Autor listu, który tak doskonale orientuje się w sytuacji Wiesława Czaję, jak również innych zawodników polskiej repre-

zentacji, powinien również wiedzieć, że do czasu objęcia przez H. Wagnera reprezentacji narodowej w piłce siatkowej udało się Polsce zdobyć jeden brązowy medal, powinien również znać opinie specjalistów na temat wartości srebrnego medalu zdobytego na mistrzostwach Europy. Kwitowanie tego jednym słowem „bujda” niczego nie zahltwia. Stosowanie bowiem arbitralnych sądów w polemikach do niczego nie prowadzi.

W wielu dyscyplinach sportu traktuje się kadrowiczów z dużym pobłażaniem, a i te wyniki uzyskiwane później przez nich nie są najlepsze. Hubert Wagner pokazał, że nie tylko potrafił ściśle myśleć, ale że jest wymagającym opiekunem. I to się powszechnie nie podoba, zarówno tym, którzy sami postępują z „ludzka łagodnością”, jak i tym, którzy boją się, że inni trenerzy przejmą się metodami H. Wagnera. Ale na coś trzeba się zdecydować: albo na wyniki w sporcie, a te nie przyjdą bez pracy, albo na pobłażliwość i rezygnację z wszelkich ambicji. Coś się mi wydaje, że Wl. Gołuch rozumie w myśli zasady: dyscyplina jest dobra, ale w referatach, w przemówieniach, w hasłach i postulatami.

Do „sprawy” Wiesława Czaję nie chce wracać, bo chodziło tam chyba nie tylko o studia w krakowskiej AGH. Zresztą W. Czaja po pierwszej demonstracji widać koszułkę „Hutnika” i grał w tym zespole. Zresztą — mój Boże — siatkarzem jest się tylko przez kilka lat, inżynierem przez całą resztę życia. Jak postąpić ma dorosły mężczyzna, o tym powinien on sam zdecydować. Nianki, różni dobrzy wujkowie oraz cieleca są mu do tego niepotrzebni. Po co więc nagle Wl. Gołuch zapisał się w ich poczet?

BOGDA MADEJ

## ZDARZENIA i ZWIERZENIA

# CZARNE DESKI

Wiedziałem przepiękne zbiory starych ikon w Galerii Tretiakowskiej w Moskwie, widziałem cudowny (w sensie artystycznym, nie mistycznym) ikonostas w zimowej cerkwi w Palechu, widziałem ogromną kolekcję ikon w suzdalskim Kremiu. Ale moje prawdziwe spotkanie z ikonami nastąpiło dopiero teraz dzięki Władimirowi Sołouchinowi, autorowi książki, którą polskiemu czytelnikowi udestępiło krakowskie Wydawnictwo Literackie.

Książka jest opowieścią, prawie detektywistyczną, o poszukiwaniu starych ikon, zbieranych przez autora po wszechwładymirskiego obwoźd. Ponieważ i mój podróży szlak przebiegał niegdyś od Włodzimierza nad Kłazną po tyśiącletni Suzdal, więc książka Sołouchina była także i przypomnieniem tamtej podróży.

Ale w książce radzieckiego pisarza dominują refleksje i niepokoje, które nie powinny być obce nikomu.

Sprawa ocalenia wartości z minionych lat odnosi się nie tylko do jednego, konkretnego kraju. To sprawa naszych czasów, w których troska człowieka o dobra materialne przesłania często wartości, jakie przynosi sztuka — nie tylko nowa, ale również dawna. A może przede wszystkim dawna.

„Czarne deski” — pisze Sołouchin o ikonach. Czarne, bowiem stuletnie i starsze ikony są po prostu czarne. Werniks, którymi je pokryto, po osiemdziesięciu latach czernieje i zamiast przydawać ikonie blasku, zasłania ją jak kotara. Czarna ikona to jest już znak jakości — to metryka.

Ale ikony są najcenniejszymi wiewłarstwami. Zmieniały się style i upodobania, z wiekiem na wiek. Ikony przemalowywano, bowiem nie było wówczas w zwyczaju palenia lub wyrzucania ikon. Stąd — opowiada Sołouchin — pod banalnym i nieciekawym malunkiem z XIX wieku można odkryć ciekawe malarstwo XVIII-wieczne. Jeśli się ma szczęście, można z wieku XVIII trafić w XVII albo i jeszcze wcześniej. Na tych samych deskach malowały całe pokolenia rosyjskich malarzy ikon.

Kiedy deska szerniała przy-

wolowano malarza, który na czarnym werniksie po ledwie prześwietlających konturach odnawiał ikonę, czyli — mówiąc po prostu — malował na nowo. I znów pokrywano werniksem, i znów po osiemdziesięciu latach werniks czerniał, i znów trzeba było odnawiać i malować. Teraz proszę podzielić pięćset na osiemdziesiąt i proszę osądzić, ile warstw malarskich i werniksu może być na ikonie z XIV lub XV wieku. Pisze Sołouchin, że z „Trójcy” Rublowa też ściągnięto kilka późniejszych warstw, nim dotarło do autentycznej warstwy Rublowa.

Rublow! To nazwisko jest dziś symbolem staroruskiej ikony. I dopiero z książki Sołouchina dowiedziałem się, że wędrowałem kiedyś szlakiem dzieł genialnego malarza. Jest pod mianem Solouchin (obwód iwanowski) wieś Wasiliewskoje. Przejechałem przez nią, a w samej Szui jadłem obiad w hotelowej restauracji. I oto pisze Sołouchin, że Katarzyna II kazała wyrzucić rublowski ikonostas z wladymirskiego soboru i wywieźć go do wsi Wasiliewskoje.

Wiedziałem te ikony. Nie, nie — gdybym napisał, że przypadkiem wszedłem do cerkwi w milianej wiosce i ujrzałem ikony Rublowa, byłaby to literatura — ale daleka od prawdy. Oczywiście widziałem te ikony z wyrzuconego przez carycę ikonostasu, ale widziałem je w Moskwie, w Galerii Tretiakowskiej. Są one dziś największą ozdobą

Galerii. Ale znam i wioskę, w której przebywały na wygnaniu.

Tak więc dzięki radzieckiemu pisarzowi poznałem szlaki i tajemnice ruskich ikon i raz jeszcze wędrowałem równinami między Władymirem, Iwanowem, Palechem, Szują i Suzdałem. A u stóp suzdalskiego Kremia stoi drewniana cerkiewka, zbudowana bez użycia piły i gwoździ — tylko samą siekierą. Istne cudo architektury przedwładowej. Kiedy tam byłem przed laty mój przewodnik powiedział: „przemieszanie ją w całości z jednej z okolicznych wsi”. I tyle.

A teraz czytając w książce Sołouchina, że to dzięki niemu przetrwała ta cerkiewka ze wsi Grotowo do Suzdala. Pisarz poświęcił jej cały rozdział w swojej książce „Włodzimierskie drogi polne”. Publikacja sprawiła, że zabytek uratowano i dziś oglądany jest przez tysiące turystów.

Władimir Sołouchin napisał

piękną, mądrą książkę o niepokoju humanisty, o nieczułości na piękno i tradycję i o wielkiej pasji. Na koniec jeszcze te słowa: „zbierając ikony nie zbierasz zwykłych obrazów — kolekcjonujesz duszę narodu”. To prawda, bowiem Sztuka jest duszą każdego narodu.

WIDOK



### REJS

„Gdy wystawie głowę z kabiny, widzę wokół siebie zawsze to samo: kragwody i nieba, ograniczony horyzont. Jest to MÓJ WŁASNY ŚWIAT, w środku którego tkwie pozornie nieruchomo: ja — sama. Świat ten jednak przemieszcza się nowoili, wraz z Komodorem ze wchodzą, na zachód, w żmudnej oracy pod fale, brad i wiatr...” — tak rozpoczyna swą książkę — wspomnienia z rejsu przez Atlantyk Teresa Remiszewska — jachtowca kapitana żegluzi wielkiej, nieznana Polka i czwartą w historii żeglarska kobieta, która samotnie przepłynęła Atlantyk. I tylko dla przypomnienia bo większość czytelników doskonale to chyba pamięta: Remiszewska brała wówczas udział w regatach zorganizowanych w roku 1972 przez Royal Western Yacht Club of England i dziennik „Observer”, płynęła z Plymouth w Anglii do Newport w Stanach Zjednoczonych.

Nie sądzę, aby trzeba było zachęcać czytelników do lektury wspomnień Teresy Remiszewskiej. Ci, którzy będą chcieli odczekać atmosferę „wielkiej przygody”, znajdują ją w książce. Ci, którzy pytają — a właściwie po co wyciekać się w samotne rejsy? — znajdują odpowiedź na to pytanie. Trudno tylko powiedzieć, czego w książce Remiszewskiej jest więcej: opisu zmagania z Atlantykem czy też zmagania z lachtem, a ściślej z całą serią awarii technicznych, które wyniknęły na skutek pośpieszności i niedokładnego remontu „Komodora”.

Jeden z największych żeglarskich czasów, F. Chichester powiedział: „Samotne żeglarswo oceaniczne to nie sport — to charakter”. Książka Teresy Remiszewskiej może o tym przekonać nawet największych sceptyków.

Teresa Remiszewska „Z goryczy soli moja radość” Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973, str. 272, cena zł. 40.

### „RAPORT BRODIEGO”

Jorge Luis Borges to dziś jeden z najpopularniejszych pisarzy Ameryki Łacińskiej, sławny nie tylko w swoim kraju, ale również w Europie, gdzie wiele lat studiował, głównie w Szwajcarii, Anglii i Hiszpanii. Borges jest laureatem wielu nagród literackich, jest również członkiem Argentyńskiej Akademii Literatury. Jego twórczość nie od razu zyskała uznanie w kraju rodzinnym. Przez długi czas odnawiała gustom tylko wąskiej elity kulturalnej i społecznej i dopiero sukcesy literackie w Europie diametralnie odmieniły sytuację. Borges stał się w Argentynie niemal narodową świętością.

Polskiego czytelnika, uważnie śledzącego przekładowe nowości prozy iberoamerykańskiej, ucieszy z pewnością tomik opowiadań tego autora — „Raport Brodiego”. Jest to czwarty przekład prozy argentyńskiego pisarza (wcześniej ukazały się: „Fikcje”, „Alef” i „Antologia osobista”), który z pewnością uzupełni istniejące jeszcze braki w naszej znalomosci tego utworu.

A co o opowiadaniach zawartych w „Raporcie Brodiego” i o swojej twórczości sądzi sam autor? Oto fragment jego wypowiedzi: „Zrobiłem co mogłem — nie wiem, z jakim rezultatem — abo opowiadania były pisane bezpośrednio: nie osiemlałem się twierdzić, że są prostsze niż te na ziemi. Jedni stroniły, niemal ledwego słowa, które byłoby proste, każda rzecz bowiem jest wykładnikiem świata, którego cecha jest złożoność. Chce jednak podkreślić, że nie jestem, nie byłem nigdy tym kogoś dawniej nazywano białkopisarzem ani też człowiekiem głoszącym orwypowieszczenia, które potem stał się pisarzem zaangażowanym. Nie zamierzam zostać Ezopem. Moje opowiadania, tak jak Opowieści z tyśiąca i jednej nocy”, pragną rozrywać i wzruszać, nie zaś pouczać”.

Jorge Luis Borges „Raport Brodiego”, przełożyła Z. Chądzińska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973, str. 77, cena 10 zł.

### „TOM HARRIS”

Akcja powieści „Tom Harris” rozpoczyna się w roku 1938, w Londynie, w momencie, gdy tytułowy bohater wchodzi z komisariatu, po przesłuchaniu w sprawie tajemniczej, nagłej śmierci jego chlebodawcy. Dwa półroczni zaczyna śledzić Tom Harris tuż za nim swola dłuża bo orzeszno dwudziestolecioletnia wdórkę trosem bohatera, rozpoczyna narratorem. Powieść w swolet konstrukcji przypomina książkę sensacyjno-kryminalną, bohater przez długi czas jest postacią tajemniczą, a motyw jego postępowania są i dla narratora i dla czytelnika niejasne. W efekcie okazuje się jednak, że sensacyjna fabuła książki była tylko pretekstem, tem, na którym autor snuje filozoficzną opowieść o życiu niebanalnego człowieka.

Autorem „Toma Harris” jest Stefan Themerson. Urodził się w 1910 roku w Płocku. W roku 1928 zaczyna w Warszawie studiować fizykę, potem architekturę, porzuca jednak studia dla filmu i literatury. W roku 1938 Themerson wyjeżdża do Parwza, bo wybuch wojny zżusza się jako o-chochlik do tworzonej we Francji Armii Polskiej. Później przedostaje się do Anglii i zaczyna się do Polskiej Siły Zbrojnych. Żyjąc w Anglii pisze jest autorem licznych artykułów na temat filozofii, i estetyki oraz wielu książek, między innymi tłumaczonego na język polski „Wkładu profesora Mima” poprzedzonego wstępem Bertranda Russela.

Stefan Themerson „Tom Harris”, przełożyła E. Krasieńska, Czytelnik, W-wa 1973, str. 330, cena zł. 32.—

### „STANY ZJEDNOCZONE — SPOŁECZEŃSTWO I WŁADZA”

W Bibliotece Wiedzy Współczesnej „Omera” ukazała się książka Wiktora Osiatyńskiego „Stany Zjednoczone — społeczeństwo i władza”. Włktor Osiatyński naukowiec i znany publicysta, jest laureatem nagrody im. Juliana Bruna, przyznanej mu w 1974 roku przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich właśnie za dorobek publicystyczny. Dwa lata wcześniej otrzymał nagrodę twórcy „Kultura” za książkę „W kreen mitu amerykańskiego”.

„Stany Zjednoczone — społeczeństwo i władza” to książka poświęcona amerykańskiemu koncepcjom systemu władzy w USA, ich ewolucji społecznemu renowansowi, funkcjom, jakie spełniają wreszcie odnowianiom z „Włtweznym społeczeństwem”. Książka jest to różnorodny wypadki polityczne, zaistniałe w Stanach Zjednoczonych szczególnie wyraźnie ujawniły ruch protestu społeczeństwa amerykańskiego skierowany przeciw systemowi władzy.

Dla wszystkich, którzy chcieliby lepiej zrozumieć procesy polityczne zachodzące ostatnio w Stanach Zjednoczonych, lektura książki Wiktora Osiatyńskiego jest rzeczą niezbędną.

Włktor Osiatyński „Stany Zjednoczone — społeczeństwo i władza”, Wiedza Powszechna, W-wa 1973, str. 273, cena zł. 20.

### WARTO PRZECZYTAĆ

- JAN BRZEKOWSKI „W Krakowie i Parwza. Wspomnienia i szkice”, W-wa, cena zł. 55.
- JERZY JANUSZ TEREJ „Spotkanie z Kilo, Szkie i telefonów historycznych”, Czytelnik, cena zł. 25.
- GASTON BACHELARD „Wobraznia poetwcka. Wybór pism”, PIW, cena zł. 60.
- MICHAŁ W. ALPATOW „O sztuce ruskiej i rosyjskiej”, PWN, cena zł. 100.
- STANISŁAW TEM „Rozprawy i szkice”, WL, cena zł. 60.
- M. PIŚCZCZKOWSKI „Icnacy Krasieki”, WL, cena zł. 75.
- J. MATERNICKI „Idee i postawy”, PWN, cena zł. 35.
- JERZY PIUTRAMENT „Akropoli” Czytelnik, cena zł. 35.
- MELCHIOR WĄKÓWICZ „Atlantyk — Pacyfik”, W ślady Kolombu”, WL, cena zł. 75.
- ŚLAWOMIR MROZEK „Utwory sceniczne nowe”, Wyd. Literackie, cena zł. 60.
- ANNA M. KOMORNICKA „Stłuczona czara”, WSIP, cena zł. 7.

## LEWYM OKIEM

# SYSTEM SYSTEMOWY

Każda działalność gospodarcza opiera się na maksymalnym wykorzystaniu posiadanych środków, a więc na unikaniu sytuacji, w której część tych środków leży odłogiem jako zaniebana „rezerwa”. Jednakże od czasu do czasu niezbędna okazuje się szczególna mobilizacja wszystkich zainteresowanych; obejrzycie się wokół siebie, nie dajcie się ukłosać korzystnym wynikami bieżącej pracy, sięgajcie jeszcze do tamtej kieszeni i do tamtej — może tam tkwiła i śnieżyczka pieniadze”.

Nieomal wszyscy publicyści i działacze, jacy dotąd zabrali głos w sprawie rezerw gospodarczych, wskazują jako chyba najważniejszą ich potencjalne źródło: organizacje pracy. Organizacje, które by pozwoliły nie tylko „aj-bardziej celowo i ekonomicznie wykonywać prace pożyteczne dla społeczeństwa, ale także zlikwidowałyby prace niepotrzebne, niecelowe, hipostazyjne. Przyłączam się bez wahania do tych głosów: organizacja produkcji, ale także organizacja zarządzania — oto zagony, z których moż-

na wyorać plony znacznie większe niż dotychczas. Są to także w moim przekonaniu te odcinki naszej rzeczywistości, na których rozwić pomiędzy teorią a praktyką jest szczególnie wielki. Bo teoretyków od organizacji to my mamy mnóstwo. Tylko że oni rozmawiali wyłącznie między sobą, sobie tylko rozumiałym językiem, organizują organizację, mówią o mówieniu. Książek i opracowań z tej specjalności mamy wiele, przeważnie zalegają półki księgarń; trud przebrnięcia przez ezoteryczny język tych książek nie owocuje niestety żadną praktyczną umiejętnością. Proszę bardzo, oto fragmenty konkretnego opracowania, zamówionego przez jeden z przemysłowców, który chciał podbudować swą codzienną pracę nowoczesną wiedzą teoretyczną:

„Wektor ograniczeń należy rozumieć jako dezyderaty, które system musi uwzględnić wtedy, gdy ustala części składowe systemu. Dezyderaty są to ogólne cechy działania, które wywierają zasadniczy wpływ na podejmowane decyzje w systemie”.

## PROPOZYCJE

# ZMYŚLNY APARAT

Jest takie pojęcie: „organizacja”. Używa się go nader często, nie zastanawiając się zbytnio nad treścią, jaką w sobie kryje. Zawsze, kiedy dochodzi do rozważań o naszych społecznych i gospodarczych możliwościach, dobrze jest wymienić postulat poprawy organizacji. Ale co to jest organizacja?

Doc. Mieczysław Kabaj — wicedyrektor Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych odpowiadając na pytania „Życia i Nowoczesności” stwierdził: „Postep organizacyjny polega zawsze na zmianie określonych układów, struktur, metod działania, do których ludzie przywykli przez wiele lat. I w związku z tym napotyka różne bariery o charakterze społecznym, ekonomicznym...”

A przy tym wszystkim ten tak pożądanym i oczekiwany postep organizacyjny jest — niestety — mało wymierany. Wprowadzenie do przedsiębiorstwa nowych maszyn czy technologii daje łatwe do wyliczenia rezultaty. Dzięki temu uzyska się tyle i tyle, iaki to i taki wzrost produkcji. Co konkretnie uzyskamy dzięki udo-konalnym organizacjom tego lub innego przedsiębiorstwa, urzędu? Tego, dokładnie nikt nie wie, choć ogólnie wiadomo, że skuteczność tego pracy będzie wyższa. W urzędzie odezwać to pytanie w sklepie — klient, w fabryce...

W Związku Radzieckim obliczono, że jeden rubel wydany na usprawnienia organizacyjne przy-

aktualne, ale aby również nadać za współczesnością w sposobie myślenia. Nie pomoże bowiem zewnętrzny kamuflaż, jeśli sposób myślenia będzie „retro”.

Nie ulega wątpliwości, że nowoczesna technika wpływa na unowocześnianie sposobu myślenia. Człowiek dostając do rąk nowe urządzenia zaczyna się nimi posługiwać najpierw ostrożnie, ale w miarę nabywania praktyki odkrywa coraz to inne ich możliwości i to zmusza go do rewizji dotychczasowych schematów, którymi się posługiwał. Problem jednakże w tym, czy taka rewizja schematów przyczynia się do tworzenia nowych, które zastępują stare, czy też zmusza do szkrania coraz nowszych rozwiązań, wyprzedzających techniki i czy przez to tworzy warunki psychologiczne pod nowe rozwiązania techniczne i organizacyjne.

Pamiętam, jak przed laty, organizując dyskusję, zwróciłem się za pośrednictwem telexu do kilku dyrektorów fabryk z prośbą o udział w niej, prezentując jednocześnie zagadnienia, o których chcielibyśmy porozmawiać. Kilku z uczestników tej dyskusji stwierdziło żartem, że było to najdłuższe telexowe noty, jakie otrzymał od chwili zainstalowania u nich aparatów telexowej. Dziś w urzędach gminnych jest już 1250 aparatów telexowych, w tym roku przybędzie 885 nowych, a w przyszłym roku zakończy się akcja: „Telex w każdej gminie”. Inna sprawa, jak tymi telexami będzie się gminy posługiwać.

Wspominam o tym dlatego, że uważam, iż powinniśmy zmienić nasz stosunek do poezji i przestać traktować ją w sposób dwi-najmniejszej. Łączność po-

go odkrywczego wniosku potrzebne są zawile dywagacje filozoficzno-filologiczne, podpisane przez jednego profesora doktora habilitowanego, jednego doktora i siedmiu magistrów?

A może i tu tkwi jakaś rezerwa do wykorzystania: zamiast pięćdziesięciu przeraźliwie czarnych, zgałmawianych do niestrainności i kończących się truzimami foliówłów dzieł bym znalazł w szafkach biurowych — krótkie proste poradniki („wiecej przy- prostie napisanej literatury popularnej o malej objętości”). — wola jeden z uczestników dyskusji w „Polityce”: niech by specjalistę od organizacji zeszli „w teren” nie po to, żeby tam zbierać cyfry do jeszcze jednego rozprawy doktorskiej tylko żeby powiedzieć tam na mielcu: zrobię tak, poprawię to, zlikwiduję ten złupi formularz i tamta archiwalna norma...”

Doność nie będzie fachowych doradców i aranżatorów, którzy na zamówienie nie będą pisali rozpraw, tylko naprawiają organizację danego odcinka będącym zdaniami intuicyjnie — jak dotychczas — działaniem ludzi dobrej woli. Do tego czasu — przypomnijmy im nie przeszkadzajmy nadmiarem tematów, rzucanych z siódmego nieba.

Rzeczywiście, już wcześniej — bo parę tysięcy lat temu, zauważyli ludziska, że jak się czegoś to gromadzi się zapas. Czy na sformułowanie takiej-

CWIEK

MARCIN RODAK

## W CZOŁÓWCE MODY

Z wielkim zainteresowaniem oglądam sprawozdanie telewizyjne z otwarcia XII Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Innsbrucku. Nasza ekipa prezentowała się na tle innych wcale nie gorzej. Przeciwnie. Budziła uznanie znawców... sportowej mody. A było na co popatrzeć. Tym, którzy sprawozdanie to widzieli tylko na ekranach czarno-białych, mogę powiedzieć, że trasa przemarszu olimpijczyków z różnych krajów miełła się wszystkimi niemal kolorami.

Relacjonowałam — i jak mi się wydaje z umiarkowanym pesymizmem — prognozy fachowców na temat naszych szans na XII Igrzyskach Olimpijskich. Prognozy te były — jak się teraz okazuje — wysoce optymistyczne, a był to — na dodatek — optymizm częściowo tylko uzasadniony. Taki wniosek można bowiem wyciągnąć z konfrontacji prognoz z faktami, czyli z wynikami, jakie osiągnęli nasi olimpijczycy. To częściowe uzasadnienie wzięło się stąd, że choć sport zimowy nie stoi u nas najlepiej, to przecież w mistrzostwach świata w różnych dyscyplinach zdobywaliśmy niezłe wyniki, lokowaliśmy się na lepszych pozycjach. W rezultatach XII Igrzysk w Innsbrucku możemy się zaliczać jedynie do czołówki pod względem mody sportowej i liczebności naszej reprezentacji.

A fakty? Każdy, kto interesuje się sportem i kto z uwagą obserwował telewizyjne relacje z Austrii, ten orientuje się, że nasi olimpijczycy uplasowali się, jeśli nie na końcu pierwszej dziesiątki, jak np. Erwina Kysiołowa, to gdzieś w drugiej, trzeciej, czwartej i tak dalej. W konfrontacji z światową czołową hokeja, z drużyną ZSRR, odnieśliśmy przykry porażkę, pokazaliśmy bowiem, jak nie należy grać w hokeja, prezentując widowni — i tej na miejscu i tej przed telewizorami — pełny zestaw szkolnych błędów. Niedostaki w technice i wyszkoleniu pokazaliśmy zresztą nie tylko w hokeju.

Komentatorzy sportowi, którzy omawiali przebieg olimpijskich zmagania w Innsbrucku — a zadanie mieli wcale nie najprzyjemniejsze i nie najwciążniejsze — usiłowali na gorąco pytać trenerów i działaczy o przyczyny naszych porażek, o pierwsze wnioski. I tu o dziwo, zdarzyło mi się słyszeć głosy, że nie wypadliśmy tak źle, bo zajęliśmy miejsce w pierwszej dziesiątce, w drugiej, w trzeciej, co przy takiej doborowej stawce zawodników z całego świata, powinno nas wysoce satysfakcjonować. Mnie to jednak nie satysfakcjonuje, a tego typu „argumentację” nazwałabym po prostu „odwracaniem kota ogonem”. Bardzo lubię koty i uważam taką operację za bolesną dla tych sympatycznych, futrzanych stworzeń, ale nie tylko dlatego przeciw takiemu stanowisku sprawy śmiem protestować.

Przede wszystkim ustalenie pierwszych, drugich i trzecich dziesiątek jest zabiegiem pomocniczym i nie ma nic wspólnego z oficjalną klasyfikacją, która sprowadza się do przyznania trzech olimpijskich medali: złotego, srebrnego i brązowego. Inna sprawa, że przy tak minimalnych różnicach czasu, wynoszących niekiedy setne ułamki sekundy, trudno nie uhonorować zawodnika, który znalazł się tuż za trzema najlepszymi. W miarę dalszego rozwoju sportu, co trzeba będzie z tym fanatem zrobić, ale niech się tym martwi już Międzynarodowy Komitet Olimpijski. Póki co, nie oszukujmy się, że 25 miejsce wcale nie jest takie złe, bo lokuje nas w trzeciej dziesiątce, a w danej konkurencji startowało tyle znakomitości. Jeśli sportowca przed olimpiadą przygotowuje się tylko do tego, aby uplasował się w drugiej dziesiątce, to coś tu nie jest w porządku. Jak do tej pory, każdemu sportowcowi powinien przyswiecać zasadniczy cel: zdobyć medalu.

Bardzo się cieszę, że wśród olimpijskich potęg, które podzieliły się medalami, znalazł się Związek Radziecki i NRD. A cieszę się dlatego, że jest to zwycięstwo sportu masowego. Wprawdzie niektórzy zaraz wyciągną argumenty, że w ZSRR łatwo o dobrego sportowca, bo jest tam z czego wybierać — tyle ludzi w tym wielkim kraju uprawia sport. Ale ta teoria jakoś zupełnie nie pasuje do NRD. Ludność tam dużo mniej niż w PRL, a mimo to sportowcy z NRD „koszą” medale. Widać, jest i tam z czego wybierać, tylko, że w obu przypadkach decyduje nie liczba ludności, a liczba młodzieży uprawiającej sport i — drobnostka — dobre jej przygotowanie.

XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie — mówili o tym również sprawozdawcy sportowi, którzy bezpośrednio przyglądali się poszczególnym konkurencjom — wykazały, że nasza olimpijska kadra była źle przygotowana. I zamiast mydlić ludziom oczy plasowaniem się w którejś tam dziesiątce, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy i na ten temat zacząć najpierw mówić, a potem z tego mówienia wyciągnąć wnioski i wprowadzić je w życie. Uważam też, że XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Innsbrucku są sygnałem ostrzegawczym przed letnią olimpiadą. Jest jeszcze czas na zrewidowanie metod szkolenia, na lepsze przygotowanie się do spotkania ze światową czołową, choć nasza sytuacja w innych dziedzinach sportu przedstawia się znacznie lepiej niż w dyscyplinach zimowych. Warto jednak pamiętać, że inni też nie będą próżnowali, że też będą doskonaliли metody treningu. Więc lepiej „dmuchać na zimne” i „nie zasypiać gruszek w popiele”.

XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie możemy spokojnie wpisać na straty. Pozostała nam jedynie satysfakcja, że przodkowaliśmy w sportowej modzie oraz, że nasza ekipa była jedną z najliczniejszych. Licha to satysfakcja. Zamiast cieszyć się z tego, z czego nie ma się co cieszyć, lepiej wyciągnąć właściwe wnioski i wziąć się do unowocześniania metod szkolenia.

BOGDA MADEJ

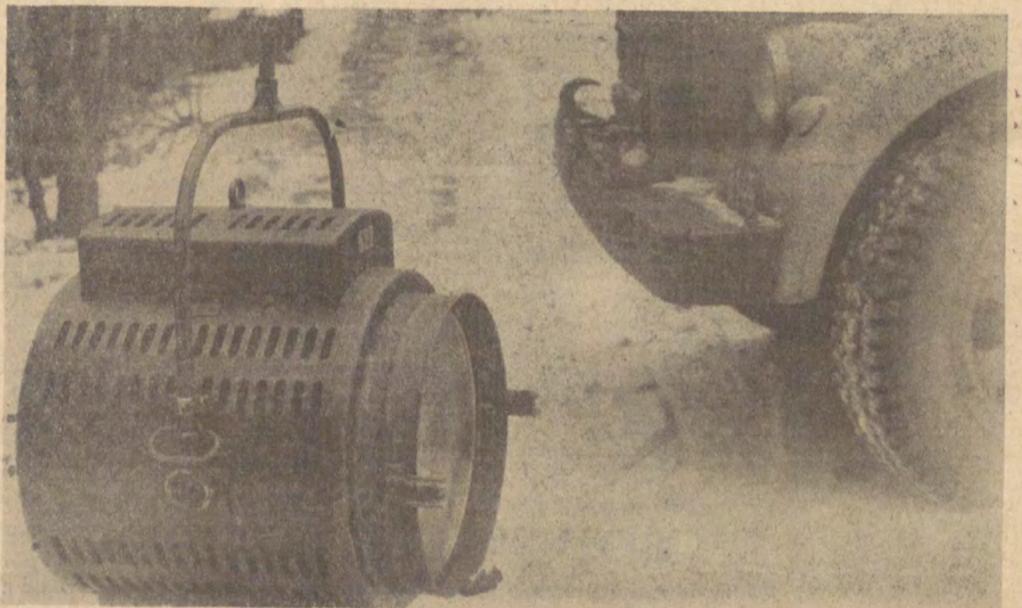
## FOTOREPORTAŻ

WŁODZIMIERZ PARYS



## „DALEKO OD SZOSY“

Film realizowany przez  
ZBIGNIEWA  
CHMIELEWSKIEGO  
według scenariusza  
Henryka Czarneckiego



## OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

RYSOWAŁ:  
JACEK BROMSKI

### FRESK HISTORYCZNY... POD TYTUŁEM **PRZERWANY HEJNAK**

ORAZ JEGO KONSEKWENCJE POLITYCZNE  
W EUROPIE ŚRODKOWEJ XIV WIEKU

Copyright © MCMLXXVI BY JACEK BROMSKI

Konstytucja: prof. dr hab. Ryszko Jan  
Kostiumy: FALKENILZ KATARZYNA  
Kier. prod.: TOMASIEWICZ JERZY A.S.C.

ODGŁOSY

...i pomknęła w dal strzała wypuszczona słabnącą ręką Robin Hooda...

... napotkawszy przychylny wiatry zniknęła w chmurach...

SLABY JESTEM! ZŁE SIĘ CZUJE... UMIERAM... KAMERADEN! PAMIĘTAJ O MOIM TESTAMENCIE! OPIEKUJ SIĘ MARIANNĄ! A MNE PODAJCIE MÓJ WIERNY ŁUK I MÓJ WIERNY KOBIELAN!

ROBIN HOOD UMIERA!

NA BIEG-NIEGO NIE TRAPŁO...

NA BOGA DAJCIE MU ŁUK!

TAM MNIE POCHOWAJCIE, GDZIE STRZAŁA W PADNIE!

FATRZCIE! A JESZCZE WYPIE POC LITRA!

...i pomknęła w dal strzała wypuszczona słabnącą ręką Robin Hooda...

... napotkawszy przychylny wiatry zniknęła w chmurach...

CNNILĘ WIDRĘ JĄ JESZCZE BYŁO...

TAM LECI!... WIDZĘ! O!... NIKNIE W OBŁOKACH... GONCIE JĄ!

i CHODZIŁI WIERNI TOWARZYSZE ROBIN HOODA ZE ZWIESZONYMI GŁOWAMI...

GDZIE POCHOWAMY BIEDNEGO WODZA?

TO NIE JEST JEDNAK TREŚCIĄ NASZEJ OPOWIEŚCI. TYMCZASEM:

A PAPIEZ JAK ZWYKLE... NICO TYM NIE WIEDZIAŁ

NIC O TYM NIE WIEM!

Strzała z łuku Robin Hooda szybowała dalej, natrafiając na pomyślny wiatry...

... WYBIŁO POŁUDNIE. MACKO Z BRONOWIC JAK CODZIEN O TEJ PORZE WSZEDŁ PO SCHODACH NA WIEŻĘ MARIACKĄ; ROZPOCZĄŁ HEJNAK...

MACKO PADE, UGODZONY STRZAŁĄ, KTÓRA NADLECIAŁA Z WIATREM...

ACH, JAK PIĘKNIE GRA! ZWŁASZCZA TO GÓRNE "CIS"!

ARMSTRONG WYSIADA!

O TAK!

CO ZA TON.

mieszkańcy przystanęli, zaskłuchani...

NAGLE! AGRH...

urwał, choć trochę trzymać. Wszystkie się zdawało, że Macko wciąż gra jeszcze, a to echo, odbite od Wawelu, grato...

WSZYSCY WBIĘGLI NA WIEŻĘ, PRZE-RAZENI WIDOKIEM ODKRYLI GŁOWY. NADWÓRNY LEKARZ KRÓLA ZBADAŁ MACKA I ZORA-DZIECKA STRZAŁE...

RYCERZE, MIESZCZANIE I KMIĘCIE ZA-PALALI SŁUSZNYM GNIEWEM...

NA OKO Tatarska...

NA MICH! BIC PSUBRATÓW!

TEMSIC POGANS-TWO!!

I ROZPOCZĘŁ STRZA-LIWA, WYMISZCZAJĄC IWOJNE Z POGANSKIM DZYNIS-CHANEM I JEGO HORDAMI. NOJ NA TRWAŁA CAŁE WIEKI, ZAŚ OD TEJ PORY, NA PAMIĄTKĘ WYDARZENIA, HEJNAK Z WIEŻY MARIACKI URWA SIĘ...

A CO NA TO PAPIEZ? ...papiez nie wiedział, kto ten uwał, że nie wie, czyja to strzała przypadkiem zabiła Maika...

KAZDY MA SWOJĄ POLITYKĘ, NIE?

„Kiedy Biuro Wystaw Artystycznych w Łodzi przejęło pięknie odnowioną secesyjną willę przy ulicy Wólczańskiej 31, założoną z góry, że w salach jej organizowane będą nie tylko wystawy plastyczne lecz również inne imprezy kulturalne...”

Zacytowane powyżej zdanie zaczerpnąłem z artykułu M. Jagoszewskiego, który na łamach „Głosu Robotniczego” w maju 1975 roku ogłosił „Udany start „Sceny Śródmieście” — to oczywiście tytuł tego artykułu, w którym znalazłem również rzetelną recenzję z inauguracyjnej premiery na scenie, o której mowa. Owa premiera, jak to udało mi się już o tym wspomnieć odbyła się w maju, i od tego czasu mamy możliwość co miesiąc być na jakiejś premierze, z których nie każda oczywiście jest jakimś nie do pominięcia wydarzeniem artystycznym, ale przynajmniej coś się dzieje. Jeszcze raz więc potwierdza się stara prawda, że

## SCENA „ŚRÓDMIEŚCIE” czyli propozycje nie do odrzucenia

jak tylko są chęci i warunki, to cel osiągnięty zostanie na pewno — przeważnie z dobrym skutkiem. Bo przecież może się zdarzyć, że przyjdzie czas — dla „Sceny Śródmieście” — na premierę, o jakiej nikomu się nie śniło...

Nie wyjaśniam jednak jeszcze, co to takiego jest „Scena Śródmieście” i o jakie tu chodziłoby premiery. Otóż „Scena Śródmieście” wymyślono w Wydziale Oświaty Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicy Łódź-Śródmieście, a do skutku doprowadzono wspólnie z Galerią Biura Wystaw Artystycznych. Pomyślowadawcom chodziło głównie o stworzenie dodatkowego miejsca spotkań aktorów z widzami, przy czym treścią tych spotkań mają być propozycje różnych form scenicznych, a więc monodramy, jednoaktówki, zwarte programy o tematyce zaangażowanej — zaproponowane i przygotowane przez samych wykonawców, z myślą o domach kultury, klubach i świetlicach — żeby, jak sadzę i do tych placówek trafiły nareszcie rzeczy nie tylko banalne.

Dotychczas odbyły się następujące premiery: „Cece” L. Piardello, „Koncert Renesansowy” przygotowany przez młodych absolwentów PWSM, „Początek i Kazańskim Uniwersytecie” E. Jęwtuszenki, „Nozna rozmowa z człowiekiem, którym się gardzi” F. Durronmatta, wieczór poetycki „Konfrontacje”, w którym wykrzystano wiersze poetów wschodnioherberty, m. innymi Zbigniewa Herberta, Jarosława Markiewicza i Adama Zagajewskiego. Ostatnia, szósta premiera „Sceny Śródmieście” była propozycją dwóch łódzkich autorów Kazimierza Drobika i Jerzego Kapelińskiego „Pamiętnik z piekła”.

Nie na wszystkich premierach byłam, ale trzy udało mi się jakoś zaliczyć. Inne nie wytrzymały konkurencji poniedziałkowych spektakli Teatru Telewizji. Te jednak, które widziałem, polecam nie tylko domom kultury, klubom i świetlicom, w których tak niewiele się dzieje, lecz także szkołom średnim, a nawet domom studenckim. Piękna jest bowiem muzyka dawna w wykonaniu młodych absolwentów PWSM (Januarius Battelli — wiolonczela,

którym opiece artystyczna przejął doświadczony człowiek sceny Włodzimierz Saar, jest nie tylko przekazem faktów historycznych i danych statystycznych, lecz także krótkim spektaklem dramatycznym, który się autentycznie przeżywa. Oskarżony tu jeden z kłaków Radogoszcza Walter Pelzhausen, staje się raz jeszcze wyrazem bezmyślnego okrucieństwa faszystów, dla których tak jak dla nich, nie istnieje sumienie, nie ma wybaczenia. W widowisku tym spotykamy się z dobrą grą uznanych już aktorów: Bogdana Wiśniewskiego, Jerzego Szpunara, Bogdana Sobiesiaka i Włodzimierza Saara. Obok nich trochę sztuczny jest więc grający też autor Jerzy Kapeliński, a gra on rolę oskarżyciela i występuje od strony widowni. Mimo to jednak, chociaż nie po raz pierwszy spotykamy się z grą amatorów, którzy bywają wspaniali, i nie po raz pierwszy obejrzałem widowisko oparte na dokumentach, muszę przyznać, że „Pamiętnik z piekła” Kazimierza Drobika i Jerzego Kapelińskiego należy w tym ganuciu do tych bardziej udanych. Stąd szczerze je polecam, szkołom średnim, tym bardziej że historia Radogoszcza z lat okupacji hitlerowskiej jest wciąż mało poznana.

Czekamy na następną propozycję „Sceny Śródmieście” i aby zachęcić do ich przygotowania aktorów i autorów powiem, że Wydział Oświaty Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicy Łódź-Śródmieście jako główny patron tej sceny pokrywa koszty związane z przygotowaniem każdej propozycji. A więc piszmy scenariusze, robmy scenografie, opracowujmy muzycznie spektakle i występujmy na „Scenie Śródmieście”, rzecz warto w kierunku łódzkich twórców którzy podobno marzą o miejscach do wygrania się także poza sceną macierzystego teatru, jak to jest w przypadku aktorów. Dobrze stało się więc, że istnieje „Scena Śródmieście” i za nią wypadła w tym miejscu podziękować jej pomysłodawcom.

ANDRZEJ W. MIKOŁAJEWSKI

## MAŁE KINO

„Najlepsze to małe kino.”  
K. I. G.

### WYDARZENIE Z MGR J. BOLSKIM

Znany naukowiec filmowy mgr Jan Boliski oświadczył ostatnio w telewizji, iż czarno-biała reprodukcja nie jest w stanie oddać bogactwa barw kolorowego oryginału. Mówiąc to mgr Jan Boliski poczerwiał z zadowolenia, o czym, niestety, mogli przekonać się jedynie posiadacze kolorowych odbiorników telewizyjnych. Swoje honorarium mgr Jan Boliski podzielił na dwie równe części przeznaczając je dla tych, którzy usiłują powtórzyć to co niepowtarzalne oraz dla pragnących nie powtarzać tego co powtarzalne. Pozostali nie otrzymają ani grosza.

### CHARAKTER SKRZYŻOWANIA

Ciągle mało filmów powstaje o naszym pięknym mieście. Dlatego tak bardzo cieszymy się z nowej pozycji pt. „Skrzyżowanie ul. Nawrot z ul. Piotrkowską”. Jak wiemy z historii, jest to bardzo dziwne skrzyżowanie. Nigdy nie stał na nim: Mickiewicz, Kopernik, Kościuszko ani nawet Kazimierz Wielki. Otóż w filmie na skrzyżowaniu powyższym postoi przez chwilę na prośbę twórców Cesarz Japoński, przez co skrzyżowanie powyższe nabierze charakteru.

### PRZYJAŹN Z PIECZARKA

Prywatny właściciel szklarni w Paduchach wyhodował przez przypadek tak piękną i wesołą pieczarkę, iż zaczął z nią żyć w przyjaźni. Jak przyjemnie jest po całodniowej wyjątkowej pracy hodowlanej oglądać wraz z sympatyczną pieczarką telewizyjny serial rodzinny. Właściciel szklarni kupił ostatnio pieczarkę kożuszek i zamierza udzić się z nią do kina, pod warunkiem oczywiście, iż uda mu się nakłonić ją do zjedzenia kapelusza w czasie seansu.

ANDRZEJ CZEKALSKI

# EXPRESS 4<sup>00</sup> ilustrowany



## „EXPRESS” RADZI

### Jak nakryć do stołu



## LEKARZE OSTROŻNIE Z LEKAMI!

przestrzegają

Medykamenty nie są w stanie nikogo uleczyć, przeciwnie — stają się najczęściej przyczyną choroby. Już tylko zwykły proszek od bólu głowy może nas przyprawić o nieuleczalną narkomanie. Podobnie polopiryna i calcipirina, które na skutek dużej zawartości kwasów powodują schorzenia przewodu pokarmowego.

Wszelkie środki hormonalne natomiast powodują odwapnienie organizmu i chorobę wrzodową. Natomiast preparaty wapniowe wywołują, postępującą w szalonym tempie, galopującą sklerozę.

Jeszcze niebezpieczniejsze są

wszelkiego rodzaju antybiotyki — poczynając od pocziwej penicyliny, a na cykloserynie i de-treomycynie kończąc. Ich działania wywołuje trwałe schorzenia alergiczne, a ponadto są one przyczyną 90 procent chorób naczyniowo-więciowych.

Tak modne ostatnio preparaty witaminowe (C-Forte, Biz, Vitalal i inne) atakują organizm nie gorzej od wirusów i bakterii, a wszelkie medykamenty mające rzekomo leczyc układ trawienny, są przyczyną chorób reumatycznych.

Stosunkowo najmniej niebezpiecznym lekiem są: bańki cięte oraz wódka z pieprzem.

**Storczyk samicy** (21.I.—20.II.) Masz szansę na życiową szansę. Nie przegap i nie chlap, co ci ślina na język przyniesie.

**Pięciornik jadowity** (21.II.—20.III.) Powinno nie być źle. Finansowo — jak Bóg da.

**Kokorycz pusta** (21.III.—20.IV.) Ale heca! Wyleją cie z roboty.

**Szałwia lekarska** (21.IV.—20.V.) W sobotę możesz sobie pozwolić na więcej. Ale nie przekraczaj trzech czwartych. Sam rozumiesz.

**Wyka ptasia** (21.V.—20.VI.) Ten tydzień przyniesie odmianę. Niewykluczone, że nadejdzie niż.

**Luica pospolita** (21.VI.—20.VII.) Doigrałeś się! Ponury brunet dybie na ciebie.

**Goryczka wiosenna** (21.VII.—20.VIII.) Przyjaciele spluwają na twój widok. Zrób coś!

**Piolunnik złoty** (21.VIII.—20.IX.) Ktoś ci robi koło dupy. Idź na kompromis.

KTO CHCE, NIECH WIERZY

**Kwiaty Ciwtozq.**

**Tojad dziobowaty** (21.IX.—20.X.) Licz się ze słowami. Feralna niedziela.

**Kosmatka polna** (21.X.—20.XI.) Masz szczęście w kartach. Wygrasz z zezowatym 2 złote 50 groszy.

**Borówka czarna** (21.XI.—20.XII.) Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Rozwód w niedziele.

**Lopian dwulistny** (21.XII.—20.I.) Złe języki uciskają. Dostaniesz anonim od życzliwego.

## reporter zanotował

Wczoraj, w godzinach wieczornych dwóch młodzieńców — J.B. i A.W., zaczęło przechodzić ulicą 49-letniego Antoniego Mączkę (Franciszkańska 51 m. 12). Napastnicy, którzy niedawno opuścili zakład karny, gdzie przebywali za rozbój, byli oczywiście w stanie wskazującym na znaczne spożycie alkoholu. Najpierw J.B. rzucił Antoniemu Mączkę (Franciszkańska 51 m.

12) okulary, a następnie A.W. bił Mączkę parasolem. Interweniowała milicja i reporter „Expressu”.

Kolejny wybuch gazu nastąpił w mieszkaniu przy ul. Bocnej 152 m. 8. Znajduje się tam melina pijacka (czynna po godz. 23), w której zmagazynowano znaczne ilości samogonu. Wybuch nastąpił prawdopodobnie od niedopałka.

W godzinach południowych miał miejsce wypadek na ulicy Piotrkowskiej. Ewaryst C wpadł na jedną wódkę do restauracji „Obywatelska”. Rachunek wypadł na korzyść barmanki.

Dwa Trabanty zderzyły się na rogu Piotrkowskiej i Tuwima. Do wypadku przybyła śmieciarka MPO.

## bazar zbieraczy



Fot. Archiwum

## NIECODZIENNA OFERTA

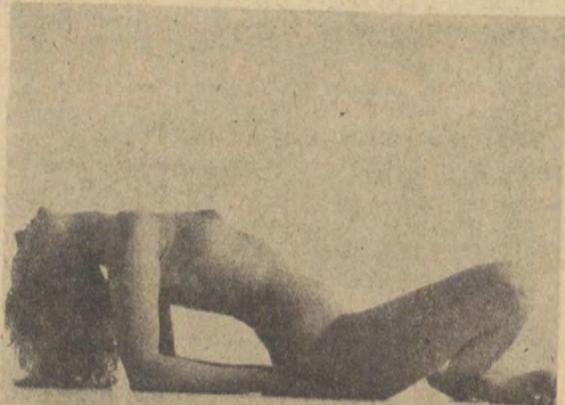
Na ostatniej Gieldzie Hobbystów i Kolekcjonerów wystawiono do sprzedaży lub wymiany wiele ciekawych okazów. Szczególnie zainteresowanie wzbudziło stoisko Violetty Pęczek (na zdjęciu). Sympatyczna hobbystka, oprócz kompletu bielizny w tak obecnie modnym stylu retro, zaproponowała także do kolekcji... sama siebie.

Z offlarna hobbystka przeprowadziła krótki wywiad.  
— Pani Violetto, co skłoniło Panią do tej decyzji?  
— Szalenie lubię kolekcjonować a wiem że i oni lubią kolekcjonować wspomnienia. Dlatego wlec postanowiłam spróbować...  
Zyczymy przyjemnych wrażeń w różnych kolekcjach.

## zagadki KRYMINALNE

Była ciemna, zimowa noc, kiedy sąsiedzi Cecylii B. z ulicy Niskiej zorientowali się, że u staruszki świeci się światło. Co to może znaczyć? — zachodzili w głowę mieszkańcy domu przy ul. Niskiej.  
Już w godzinę później na dalekie przedmieście udała się ekipa funkcjonariuszy wydziału dochodzeniowego Komendy MO. Rozpoczęto czynności wstępne. W ich wyniku ustalono, że Cecylia B. nie wychodziła dziś z domu. Zza drzwi dobiegały podejrzane dźwięki. Czule ucho por. Waldemara U. zarejestrowało naraz dwa głośne strzały z pistoletu typu Colt.  
Niezwłocznie wyważono drzwi. W pokoju, w pozycji półleżącej dostrzeżono Cecylię B. Na ekranie telewizora trwała akcja serialu „Strzały w Dorch City”.

## CIEKAWOSTKI ZE ŚWIATA W AUSTRALII JUŻ LATO!



Fot. Archiwum

**Do PRALEK automatycznych  
STOSUJ PROSZKI...**

**ZAPRASZAMY  
DO SKLEPÓW**

429/k